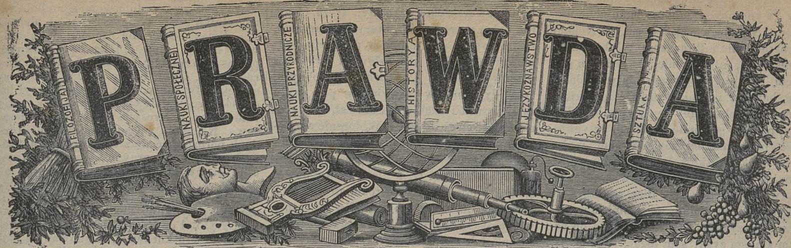
№ 36. Warszawa, dnia 4 Września (23 Sierpnia) 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Pacierz Europy. — Tydzień polityczny. — *Powieść:* Miłe wspomnienia. — *Badania naukowe:* Prawa rozwoju społecznego II. p. Ad. J. Chona. — *Literatura i sztuka:* Jan Lam IV. — Dla ludu p. Henryka Biegeleisena. — Literatura polska: Szlachetny czyn mieszczan z Mrzygłodu p. Z. — Konkurs tygodnika ilustrowanego p. J.—Z Francyi p. P. — Literatura czeska: Wrchlicky Jarosław. Mądrość rabina p. Justyna Feliksa Gajslera.— *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Jak to już dawniej zaznaczyliśmy, zapomocą kwartalnych dodatków do *Prawdy* staramy się zaopatrzyć naszych abonentów w dzieła naukowe, które by służyły za podręczniki do poznania różnych działów wiedzy. Wydaliśmy dotąd *Główne prądy literatury XIX w.* J. Brandesa, *Ekonomię polityczną* — pracę zbiorową słynnych badaczów niemieckich, wreszcie *Logikę* J. Liarda; z kolei teraz otworzymy dziedzinę socyologii. Zanim nakładem naszym wyjdzie genialna książka Morgana (*Pierwotne społeczeństwo*), od bieżącego kwartału rozpoczniemy w dodatku kwartalnym druk cennego dzieła Espinasa *Społeczeństwa zwierzęce*, w przekładzie J. K. Potockiego, gdzie mieści się historyczny przegląd główniejszych teoryj socyologicznych. Skoro czytelnik naprzód pozna ten obraz poglądów, później — ustrój życia zbiorowego zwierząt, następnie—organizacyę ludów pierwotnych, najgruntowniej i bez trudu zrozumie stopniowy rozwój wiązań i stosunków społecznych oraz ich postać obecną w cywilizacyi. Praca Espinasa, obok umiejętnego wykładu, zaleca się wdziękiem i jasnością formy, oraz doborem wymownych a ciekawych faktów i przykładów.

Z powodu nadchodzącego nowego kwartału prosimy szan. abonentów o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

PACIERZ EUROPY.

Do jakiego stopnia Niemcy ciążą swoim wpływem na sprawach politycznych, albo raczej — do jakiego stopnia Bismark rządzi Europą, przekonywają ostatnie wypadki bułgarskie. W ciągu kilku dni dokonał się dwukrotny przewrot, zaczepiający lub naruszający interesy rozmaitych państw — i w Europie zapanowała taka cisza, przerywana tylko bezładnym gwarem gazeciarskim, jak gdyby nikt nie śmiał przemówić, zanim Jowisz berliński się odezwie. Owa cisza dyplomatyczna okrywa niepewność i trwogę, brak odwagi do samodzielnych wystąpień, który w przykrej chwili gotów jedynie zasłonić się „dobrą miną na złą grę." Toż samo uwydatnia wrzawa dzienników, która dostarcza nam bardzo charakterystycznego materyału.

Wierzymy hiszpanom, zajętym „pierwszymi trzewikami" swego króla, lub szwedom, pilnującym własnego domu, od biedy wierzymy włochom i francuzom, że rewolucya bułgarska „nie dotyka sfery ich interesów," ale co rzec o anglikach, którzy z udaną obojętnością powtarzają to zapewnienie? Co powiedzieć o Austryi, która również wypiera się wszelkiego zakłopotania? Pomijamy naturalnie Turcyę, oddawną już sparaliżowaną, pomijamy Niemcy, mogące kłamać słowem, gdy potężnie działają czynem, czy ta ogólna abdykacya nie świadczy, że wasale czekają z Berlina wskazówki, jakie są w danej chwili granice „sfery ich interesów?" Dopiero gdy Bismark pozwoli Anglii gniewać się, uzna ona, że ma do tego prawo. „Europa" politycznie jest pustym dźwiękiem, złudzeniem, pamiątką historyczną.

Szczerze, aż nadto szczerze wyspowiadała się tylko prasa rosyjska. „Finita la *comedia* (?) — woła *Now. Wremia*. Polsko-niemiecki awanturnik strącony został z tronu jednomyślnem postanowieniem wszystkich stronnictw podle oszukanego narodu." Skutkiem zamknięcia w Sofii telegrafu dla wszelkich depesz dziennik petersburski nie mógł wiedzieć, że owa „jednomyślność" była bardzo maluczką, że ją podrobiono przez pomieszczenie w składzie „rządu tymczasowego" nazwisk ludzi, którzy z buntem nie mieli nic wspólnego, i że trzeba będzie jeszcze „zająć się dalszym losem pruskiego porucznika," bo szybko wrócił do kraju. Inne gazety również rzucają kamieniami za „władcą na wygnaniu," a wszystkie dochodzą do wniosku, że na tronie bułgarskim zasiąść może tylko albo rosyanin, albo przyjaciel Rosyi, że „Battenberg jest niczem i w tej chwili można już doskonale o nim zapomnieć," że wreszcie sprawcy przewrotu powinni swojem „legalnem postępowaniem" usunąć trudności załatwienia sprawy pokojowo.

Pokój! Takie hasło dotąd nieodwołane wyszło z Berlina i bądź bezmyślnie, bądź przebiegle, bądź wreszcie trwożliwie jest ciągle podawane z ust do ust. Czy ono wszakże może być na długo naczelnem przykazaniem polityki europejskiej? Innemi słowy: czy te rany, na jakie cierpi świat stary, zagoją się bez operacyi i wypalenia? Nikt bardziej od nas nie czuje okropności i sromoty krwawych zapasów, nikt mocniej nie chciałby, ażeby czerwone ich plamy nie opryskiwały kart historyi, ale jednocześnie wierzymy, że to, co miecz zadzierzgnął, miecz tylko rozwiązać, a raczej rozciąć może. Jeżeli nawet w tych życzeniach pokoju odzywają się głosy szczere, to są one błaganiami chorego, który wie, że nieuniknie operacyi, ale pragnąłby ją przynajmniej odwlec. Przewa-

żnie zaś są to papuzie naśladowania dźwięków wyuczonych lub też samolubne wykręty. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy bez brzemienia militaryzmu żyłyby daleko szczęśliwiej, niż obecnie, ale pod tym ciężarem im jest względnie najwygodniej. One bowiem posiadają prawie nieograniczony, wszechstronny wpływ na losy Europy, podczas gdy inne państwa, przygniecione lub zamagnetyzowane tym wpływem, obok skutków zależności muszą jeszcze rujnować się na pogotowie wojenne. Nic więc dziwnego, że Bismark stara się utrzymać taki pokój, że tłumi lub zażegnywa wszystkie burze. Ciągnie on bowiem z niego zyski sam jeden; wojna, zawsze w swym przebiegu nieprzewidziana, mogłaby raz na zawsze zniszczyć owo zwierzchnictwo Niemiec. Nie jest to dowodem jego ludzkich uczuć i wstrętu do staré barbarzyńskich, że ile razy naderwie się jakiś stosunek, on zaraz przybywa z podwiązką, że godzi zwaśnionych, łagodzi pretensye, występuje w roli „uczciwego pośrednika.“ Rozumie bowiem, że wszelkie wstrząśnienie naruszyłoby piramidę, której wierzchołek on tworzy. Trudno byłoby z jego potęgą zlicować te ustawiczne zabiegi o utrzymanie stanu istniejącego, zjazdy z ministrami mocarstw ościennych, układy pisane i ustne, przymierza, protokóły i „porozumienia się“ bez końca, gdybyśmy nie pamiętali, jak wiele zależy mu na tem, ażeby pożar wojny, ciągle przez niego umiejscowiany, nie ogarnął szerszych kręgów. Wmówił on w swoich „kolegów“ i „przyjaciół,“ że tylko w obecnym pokoju z żelaznemi ścianami narody szczęśliwie żyć mogą — i wszyscy tę nutę za nim śpiewają. Tymczasem parna cisza potrzebuje świeżego powietrza, chociażby od burzy.

Jest faktem aż nadto pewnym, że i teraz Bismark będzie usiłował zamknąć wypadki bułgarskie w granicach miejscowych i że po to jechał do Franzensbadu. Gadziny berlińskie, karmione z wydartej królowi hanowerskiemu szkatuły, syczą ciągle ten jeden wyraz: *pokój*, który według nich, został nowem przymierzem podparty i obmurowany. Tyle ten człowiek wykonał planów śmiałych i nieprawdopodobnych, tylu dyplomatów wywiódł w pole, tylu zaszachował i zachloroformował, że i tym razem cel swój osiągnie. Widocznie w księgach przeznaczeń Europy zapisano, że dopóki on żyć będzie, ona pozostanie jego korną służebnicą. Dziś nie widzimy nawet śladów buntu przeciwko temu stosunkowi. Wszyscy naiwnie lub trwożliwie przepowiadają: i rewolucya bułgarska skończy się tak, jak zechce Bismark— bo wszystko się tak kończy. Potomność zaledwie temu uwierzy, a my na to patrzymy i powtarzamy: „Ojcze nasz, któryś jest w Berlinie, święć się imię twoje, bądź wola twoja... Taki pacierz odmawia Europa od lat dwudziestu, a co najmniej od piętnastu. Czy więc Bułgarya ma być rządzona przez niemca, czy przez słowianina, czy przez rzecznika Rosyi, czy przez jej wroga, czy będzie rozpołowioną, czy zjednoczoną, czy wogóle będzie istnieć — to nie zależy ani od słuszności i prawa, ani od żadnego mocarstwa, ani od mitycznej „Europy,“ ale od kanclerza niemieckiego. Tak zwana „Europa“ klęka przed nim i modli się, a on jej nawet „chleba powszedniego“ nie daje, tylko zaręcza głodnej, że ją „zbawia od złego...“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy bułgarskie wciąż jeszcze podniecają uwagę powszechną, zwłaszcza, że przebiegu ich pełnego niespodzianek przewidywać niepodobna. Tydzień ostatni jest szeregiem tryumfów dla księcia Aleksandra. Ze Lwowa przez Rumunię powrócił on spiesznie do kraju i przejechał Dunaj w Ruszczuku. Czekały go tam liczne deputacye pod przewodnictwem Stambułowa, naczelnika rządu tymczasowego w Tyrnowie. Książe serdecznie uściskał Stambułowa i istotnie miał mu za co dziękować, prezes „sobranja“ bowiem był duszą kontrrewolucyi. On pierwszy wystąpił z opozycyą przeciw zamachowi, on podburzył ludność Tyrnowa, zawiązał stosunki z armią rumelijską i wreszcie obalił rząd tymczasowy Klimenta i Cankowa. Nie mógł jednak porozumieć się z Karawełowem, który wogóle w tej sprawie zajmuje dwuznaczne stanowisko, w Sofii więc utworzono drugą regencyę. Obecnie obie regencye złożyły władzę w ręce księcia, który z Ruszczuku przybył do Tyrnowa, stamtąd zaś udać się miał do Filipopola i wraz z pułkownikiem Mutkurowem, mianowanym głównym dowódcą armii, i z milicyą rumelijską — iść na Sofię. Ponieważ jednak wojska, które przyjmowały udział w spisku, opuściły stolicę, Karawełow zaś złożył władzę, książę pojedzie wprost do Sofii. Główni sprawcy zamachu chcieli zbiedz za granicę, zostali jednak ujęci. Cankow i Kliment znajdują się w Sofii, Grujewa i Benderowa schwytano w Widyniu i w tych dniach właśnie ma się odbyć nad nim sąd wojenny, niektóre pisma wiedeńskie donoszą również o aresztowaniu Karawełowa, ale jest to wiadomość bardzo wątpliwa.

Król Milan powitał niedawnego przeciwnika bardzo serdecznie, książę Aleksander odpowiedział mu w tym samym tonie i wyraził nadzieję, że dobre stosunki między Serbią i Bułgaryą będą obecnie przywrócone. Mówią nawet o przymierzu obu tych państw, do którego przyłącza się i Rumunia. Opiekunką tego nowego sojuszu ma być Anglia; gdyby przyszedł on do skutku, przedstawiałby rzeczywiście poważną siłę.

Rewolucya bułgarska wywołała w prasie niemieckiej objawy niezadowolenia z polityki zagranicznej księcia Bismarka. Dzienniki niezależne potępiają surowo zachowanie się kanclerza w tej sprawie; pierwszy to raz dopiero jego polityka zewnętrzna ulega tak surowej krytyce, dotychczas w tej sferze zgadzali się z nim ci nawet, którzy ostro występowali przeciw rządowi w sprawach wewnętrznych.

Prasa rosyjska wciąż mówi o zajęciu

POWIEŚĆ.

MIŁE WSPOMNIENIA.

Rzeczywistość usnuła ciekawą powieść, która może doskonale zastąpić twory zmyślenia.

D. 19 b. m. ks. Aleksander bułgarski położył się spać spokojny, chociaż odebrał list bezimienny, donoszący mu, że dojrzało sprzysiężenie, które go chce zrzucić z tronu. Roześmiał się tylko, bo takich listów w ostatnich czasach otrzymał wiele, i wrzucił pismo do kosza.

Około godziny 2 po północy oddział wojska otoczył jego mieszkanie. W mieście panowała zupełna cisza. Wkrótce wszakże odbił się na niej łoskot, krótka walka i stłumiony jęk w sieniach ,,konaku:“ zamordowano straże, poczem obsadzono wszystkie wyjścia. Zbudził się urzędnik, śpiący na dole, zbudził się brat księcia, wreszcie i on sam, do jego pokoju bowiem wpadł służący z krzykiem: — Ratuj się!

Aleksander w nocnem ubraniu zbiegł ze schodów, ale tu spotkał dwu żołnierzy, którzy go wstrzymali bagnetami. Wrócił więc do sypialni, gdzie już zastał grono oficerów, którzy skierowali do niego rewolwery. Na ich czele był Grujew.

— Dobro Bułgaryi — rzekł on niepewnym głosem — wymaga, ażeby książe z tronu ustąpił, żąda tego cała armia za obrazę Rosyi.

— Nieprawda — odparł Aleksander.

Nastąpił spór, w którym spiskowcy odzyskali odwagę a książe ją stracił.

— Podpisz to — podpisz zaraz! — krzyczeli, otoczywszy go i grożąc rewolwerami.

Książe wziął z ręki Grujewa papier i zauważył:

— Nie mogę przeczytać.

Widząc wszakże niemożność i niebezpieczeństwo dalszego oporu, nakreślił drżącą ręką:

,,Niech Bóg chroni Bułgaryę— Aleksander.“

Blady, oparty czołem o szybę, patrzał przez okno na wojsko, przy którem dostrzegł młodych kadetów. To — jak zapewniał potem — przejęło go straszną boleścią...

Zaprowadzono go naprzód do ministeryum wojny, gdzie wkrótce przybył jego brat Franciszek Józef. Po dwu godzinach wsadzono ich do osobnych powozów. Obok woźnicy na każdym koźle zajął miejsce uczeń szkoły junkierskiej. Czterdziestu oficerów z rękami w kieszeniach stało na dziedzińcu, przesyłając więźniom szydercze uśmiechy. Kapitan Benderow, który grał rolę jednego z przywódców zamachu, rzekł do księcia:

— Widzisz, na co ci wyszło, a nie chciałeś mnie zrobić majorem.

Kilku oficerów pułku piechoty po mustrze było wieczorem dnia poprzedniego u księcia na kolacyi.

Odjeżdżając, rzekł do Grujewa:

— Nie mam przy sobie wcale pieniędzy, pozwól pan, ażeby tu przyszedł Menges (zawiadujący prywatną jego kasą).

— Wyślę je do Łom-Palanki — odparł Grujew.

Pierwszą noc spędził Aleksander z bratem w klasztorze, odległym o 25 kilometrów od Sofii. Przez całą drogę do Dunaju, ile razy chciał przemówić, oficerowie ostrzegali:

— Milcz, bo zginiesz.

Na statku obu braci zamknięto w jednej kajucie. Przy drzwiach trzymali straż dwaj oficerowie z dobytemi szablami. Gorąco było straszne. Gdy książe skierował rękę do okienka, żołnierze natychmiast go odtrącili.

Rozmyślając nad swym losem, zrozumiał on teraz, czemu go tak niepokojono ustawicznemi wiadomościami o uzbrojeniach Serbii. Sprzysiężeni chcieli tym sposobem usunąć ze stolicy wojsko wierne swemu wodzowi i pozostawić w niej tylko oddziały zbuntowane. Dzięki temu manewrowi zamach mógł się udać, a jego ofiara pozbawioną była wszelkiej pomocy.

Spiskowcy daremnie upatrując kogoś na brzegu, komu by mogli wydać więźnia po-

Bułgaryi, w której jakoby panuje straszna anarchia. Tymczasem zdaje się, że rząd rosyjski zdania tego nie podziela. Okólnik p. Giersa, który ogłosiły pisma niemieckie, jakkolwiek prawdopodobnie podrobiony, wiernie wyraża zasady polityki rosyjskiej, twierdzi on mianowicie, że rząd cesarski nie uświęci swoją powagą działań spiskowych i wogóle wszelkich środków rewolucyjnych.

Wobec wypadków sensacyjnych na półwyspie bałkańskim, zwyczajne sprawy polityczne zeszły na plan drugi, nikt się nie zajmuje niemi, nawet dzienniki poświęcają im zaledwie kilkuwierszowe wzmianki. Z Francyi tylko przychodzi pogłoska dosyć ciekawa, jakoby p. Grevy z powodu nadwątlonego zdrowia postanowił złożyć władzę i stara się zapewnić następstwo po sobie Freycinetowi. Trudno wszakże temu wierzyć, Grevy bowiem właściwie nie miesza się wcale do rządów, może więc przy najbardziej słabem zdrowiu piastować swój urząd, nie ma zaś żadnych innych powodów dla usunięcia się ze stanowiska.

W parlamencie angielskim toczą się rozprawy nad adresem do królowej. Z ciekawością oczekiwano głosowania nad poprawką, wniesioną przez Parnella i żądającą przyznania Irlandyi samorządu. Okazało się, że Hartington i Chamberlaine oraz ich zwolennicy głosowali wraz z torysami, wskutek czego poprawka Parnella została odrzuconą.

Irlandczycy urządzili wielki kongres w Chicago. Były tam właściwie dwa zgromadzenia: home-rulerów i nieprzejednanych; polityka dotychczasowa posłów irlandzkich, pomimo opozycyi żywiołów skrajnych, otrzymała uznanie.

W Londynie odbył się wielki meeting ludowy, na którym uchwalono rezolucyę, żądającą uwolnienia aresztowanego socyalisty Williamsa. Zgromadzone tłumy zachowywały się spokojnie.

BADANIA NAUKOWE.

PRAWA ROZWOJU SPOŁECZNEGO.

II.

Zdaniem Hertzki dwa tylko źródła dochodów podlegają nadużyciom: zysk przedsiębiorcy i renta gruntowa. Czyste odsetki od kapitału, to jest należność za użyczenie powstałego z zaoszczędzonych wytworów pracy, o ile pozostają w granicach podaży i popytu, są niezbędnym warunkiem wszelkiej swobodnej kapitalizacyi. Nie mierzą się one podług różnicy pomiędzy płacą robotniczą a dochodem z pracy, lecz podobnie, jak sama płaca, według kosztów reprodukcyi pracy na wytworzenie kapitału spotrzebowanej.

Reforma socyalna, dążąca do urzeczywistnienia zasady sprawiedliwości gospodarczej, nic nie zmieni i zmienić nie może ani z istoty tych odsetków, ani też bezpośrednio z ich wymiaru. Nawet w wypadku, gdy pracujący dojdzie do zachowania nieuszczuplonego dochodu ze swojej produkcyi, za użytkowanie z narzędzi pracy będzie musiał zapłacić tyle, ile potrzeba na utrzymywanie ich w stanie dobrym i odnawianie, mianowicie tyle, ażeby w każdej chwili znalazła się dostateczna liczba ludzi, którzy, ze względu na wynikające stąd korzyści, będą woleli kapitalizować część wpływów swoich, aniżeli spożywać wszystkie.

Zysk przedsiębiorcy natomiast wyobraża wprost przewyżkę dochodu z pracy po nad płacę robotniczą. Ekonomiczne uprawnienie tego zysku mieści się wyłącznie w tem, że praca swobodna niezdolną jest do uorganizowania wytwórczości. Konkurencya pomiędzy przedsiębiorcami nie może sprowadzić wyrównania pomiędzy zyskiem, a płacą, gdyż przy wysokim stopniu produkcyjności podaż sił roboczych stale i niepomiernie przewyższa wszelki popyt możliwy. „Społeczeństwo nowoczesne — powiada autor, bliżej uzasadniając ten pogląd — właśnie dlatego, że odbiera masom możność spożywania owoców ich pracy, nigdy też nie jest w stanie przy produkcyi w całości zatrudnić tych mas; na mocy tego samego urządzenia, które przeważną większość skazuje na niedostatek, zmusza ono również mnóstwo ludzi do bezwarunkowej lub względnej tylko bezczynności. Pracodawcy przeto zawsze znajdują więcej poszukujących pracy, aniżeli kiedykolwiek potrzebować mogą, a jeśli pomimo to zmuszeni są czasowo podwyższać płace, czynią to dlatego jedynie, ażeby przyspieszyć przypływ, ażeby przezwyciężyć jakieś przeszkody miejscowej lub osobistej natury, słowem niejako dla szybszego otwarcia upustów danego zbiornika, aniżeliby to nastąpić mogło w zwykłej kolei rzeczy wobec nieodłącznej od wszelkich przedmiotów i stosunków tendencyi wyczekującej. Wszystko to atoli prawie wcale nie dotyka zysku pracodawcy; zysk ten nie może wprawdzie długo utrzymać się na wysokości przechodzącej stan normalny, ale zmniejszenie jego dokonywa się nie drogą podwyższenia płac, lecz drogą ograniczenia ceny produktu. Konkurencya więc ma za następstwo nie podniesienie zarobków robotniczych, lecz spadek cen. Jakkolwiek zaś o tym ostatnim utrzymują, że wychodzi na korzyść mas, jednak jest to o tyle nieprawdziwem, o ile spadek ten prowadzi do zmniejszenia cen, a nawet, gdyby było prawdziwem, stanowiłoby dowód wprost przeciwny postawionemu twierdzeniu, mianowicie, że współzawodnictwo nie zapewnia robotnikowi udziału w zyskach przedsiębiorcy, lecz na odwrót — pozwala mu korzystać z jego strat.“

Oświadczywszy tak kategorycznie, że pomiędzy zyskiem przedsiębiorcy, a płacą robotniczą ciągła panuje dysharmonia, autor stawia sobie pytanie: jaki rzeczywiście pomiędzy tym dwojgiem zachodzi stosunek? Zagadnienie to rozwiązuje za pomocą cyfr, które zebrać mu się udało, pomimo niechęci producentów wogóle do udzielania tego rodzaju szczegółów. Ze sprawozdań 38 fabryk wyrobów najróżnorodniejszych, jakie przeglądał, a obejmujących ogółem 394 lat eksploatacyjnych, okazuje się, że fabryki owe w pomienionym okresie czasu miały czystego zysku 57½ miliona guldenów, które po potrąceniu 5% procentów za kapitały zakładowe i obrotowe, redukują się do 28,2 milionów guldenów. Ze też w tym samym czasie też same fabryki tytułem płac wydatkowały 11,8 mil. guldenów — zysk przedsiębiorcy przeto do płacy robotniczej ma się, jak 2,4:1. Wszystkich lat eksploatacyjnych, w których zysk przedsiębiorców wynosił mniej, aniżeli ogólna suma płac, było razem 92; natomiast w 150 latach zysk ten przewyższał owe płace od 1—4 razy, w 82 — od 3—5 razy, a w 17 znacznie więcej, niż 5 razy. Bezpośredniej zależności sum, w postaci płacy wydanych, od zysków przedsiębiorcy, autor nie dostrzegł nigdzie. Ani fabryki lepiej procentujące nie płacą więcej, ani też płaca ro-

---

płynęli nad wieczorem w górę rzeki. Dopiero nazajutrz rano wylądowali w Reni na granicy rosyjskiej. Zjawił się pułkownik, któremu powierzono księcia. Odmówił on mu swobody, tłomacząc się potrzebą zasięgnięcia instrukcyi. Nadszedł wreszcie telegram z Petersburga, dozwalający Aleksandrowi przejechać przez Lwów lub Warszawę. Wybrał Lwów i osobnym pociągiem, w towarzystwie straży rosyjskiej przybył do Bender, a w sobotę (28) do Lwowa.

W drodze dopiero dowiedział się o dalszym ciągu wypadków w Sofii. O godzinie 5-tej metropolita odprawił dziękczynne nabożeństwo i ogłosił zebranym, że „Bóg uwolnił naród od księcia Battenberga.“ Przed kościołem zabrzmiały salwy, które zbudziły resztę ludności. Wtedy tłum ludu poszedł przed konsulat rosyjski. Na balkonie, obok konsula ukazał się metropolita Klement i Cankow, za nimi Grujew. Metropolita zaczął błogosławić lud, który padł na kolana i zaczął wnosić okrzyki na cześć Rosyi.

Jednocześnie utworzył się rząd tymczasowy z Cankowem na czele i z udziałem kilku ministrów księcia, którzy potem zaprotestowali przeciw nadużyciu ich nazwisk. Żywioły chwilowo zatrwożone, a przeciwne rewolucyi, szybko podniosły głowę i wytworzyły się aż dwa rządy tymczasowe, potępiające Cankowa: jeden z odcieniem sympatyi dla Rosyi — Karawełowa, a drugi bezwzględnie oddany księciu — Stambułowa.

Aleksander, wyszedłszy z gorącej kąpieli, zamierzał pierwotnie wyjechać przez Wrocław do Darmsztadu — do ojca. Kontrrewolucya jednak powstrzymała go od prostej rejterady i napoiła otuchą. Do Lwowa, gdzie go zastało kilkaset depesz i wezwań, przybył bez należytego ubrania, ale z nadzieją. Cankow i jego wspólnicy zostali uwięzieni, ludność oprzytomniała, załogi wojskowe w twierdzach dochowały wierności, liczne deputacye nakłaniały swego władcę do powrotu, rządy, mimo niezgody dwu sterników, spoczywały ostatecznie w rękach przyjaznych. Wygnany książę jednak musiał zapytać o radę „Europy,“ która go osadziła na tronie. Właśnie „Europa“ pojechała do Franzensbadu odwiedzić rosyjskiego ministra spraw zagranicznych — ztamtąd więc oczekiwał rozkazu. Odebrał dwa telegramy; co one zawierały, nie wiadomo, nie zagradzały mu wszakże drogi, skoro postanowił wrócić do Bułgaryi.

We Lwowie zgotowano mu przyjęcie nie urzędowe, ale uroczyste. Tłumy ludności zgromadziły się przed dworcem, okrzykiwano bohatera wiwatami, obdarowywano kwiatami. On zmęczony, nie wolny jeszcze od śladów cierpień, zwykłą drożką udał się z bratem i przyjaciołmi do hotelu. Zaledwie odpocząwszy, ruszył w drogę i obecnie znajduje się na ziemi bułgarskiej, gdzie z pewnością dostarczy swemi przygodami wątku do dalszego ciągu powieści, którą ks. Bismark zatytułował mu: „Miłe wspomnienia.“

Jak dotąd, są one w rezultacie miłe. Najadł się młodzian strachu, ale go strawił i dziś znowu ma nad sobą dobrą gwiazdę.

W Bułgaryi konstytucya jest wachlarzem, na którym dyplomacya wypisała różne aforyzmy, ale który można równie rozłożyć dla ochłodzenia się, jak złożyć w chwili chłodu i nie pozwolić na odczytywanie onych pięknych zdań. Ks. Aleksander już raz to zrobił — a zrobiłby ponownie dla ukręcenia głów buntowniczej hydrze, gdyby się nie bał o własną. Czy więc, odzyskawszy tron, wyrzecze z niego słowa miłosierdzia lub łagodnej kary, czy też ciśnie pioruny na spiskowców — zgadnąć trudno i on sam zapewne dotąd nie wie.

Bądź co bądź, że powieść p. t. „Miłe wspomnienia,“ w której on jest głównym bohaterem, jeszcze nie skończona — to nie ulega żadnej wątpliwości.

---

botnicza nie podnosi się w miarę wzrostu zysków przedsiębiorcy. Do podobnych też wyników doprowadza analiza rachunkowa w dziedzinie rolnictwa. W dolnej Austryi i Czechach dochód czysty z majątków ziemskich, przy złych żniwach — nie mówiąc naturalnie o nieurodzajach — waha się pomiędzy 100 a 200% płacy robotniczej, przy średnich — pomiędzy 200 a 400%.

Rentę gruntową określa Hertzka jako haracz, wymagany za pozwolenie użycia sił przyrodzonych, który wraz z rozwojem cywilizacyi wciąż wzrasta i który, dzięki ruchowi cen, pozostających pod wpływem konkurencyi, rozciąga się i do produkcyj bezpośrednio wcale z ziemią niezwiązanych. Monopol naturalny pochłania w ten sposób różnicę pomiędzy praktycznym dochodem z pracy, a zarobkiem tych, którzy od posiadania bogactw przyrodzonych są wykluczeni, zarobkiem, złożonym z płacy robotniczej, procentu od kapitału i zysków przedsiębiorcy. Wiele obecnie wynosi pochłonięta przez rentę gruntową część dochodu ogólnego — dokładnie obliczyć niepodobna, głównie dla tego, że układane w celu oznaczenia wysokości podatku gruntowego regestry dochodowe, z powodów bardzo łatwo zrozumiałych, dalekie są od prawdy. Podług regestrów podatkowych austryackich dochód czysty z ziem w całem państwie ma wynosić około 400 milionów guldenów rocznie; w rzeczywistości przecież zdaje się, że dochód ten dosięga wysokości dwakroć wziętej tej cyfry i wraz z rentą od wartości ziemi zajętej pod domy, fabryki, kopalnie itp. napewno ocenionym być może na 1,000 milionów guldenów. W przybliżeniu prawdopodobnie tyle również wynosi całkowity, tak zwany fundusz zarobkowy, owo pole życia i działania klas nieposiadających. Tym sposobem renta gruntowa w Austryi — gdzie ziemia wogóle wcale jeszcze do tak znacznej nie doszła wartości — pochłaniałaby mniej więcej „alterum tantum" dochodu ogromnej większości zaludnienia. A stosunek ten niewątpliwie coraz bardziej kształtuje się na korzyść renty gruntowej. Im większą jest liczba żyjących na ziemi i im wyższą władza ich nad naturą, tem mniejszym stosunkowo jest udział w dobrach ziemskich każdego z pracowników, gdyż dostają oni bez zmiany tyle tylko, ile im potrzeba na utrzymanie ich bytu, gdyż przewyżka wartości produkcyjnej, ponad minimum kosztów istnienia po potrąceniu zysków przedsiębiorcy, dostaje się właścicielom gruntu.

Wyzyskiwanie pracy, jak dowodzi dalej autor, z jednej strony przez zysk przedsiębiorcy, a z drugiej przez rentę gruntową, prowadzi do nadprodukcyi, to jest do niemożności zatrudnienia całego rozporządzalnego zasobu sił i kapitału. Skoro produkcyjność doszła raz do stopnia, na którym zbytek klas posiadających i potrzeby kapitału w celu zyskania nowych środków wytwórczości, niezdolne są pochłaniać już przewyżki dochodu z pracy nad płacę robotniczą, trzymaną wciąż na najniższym szczeblu opędzenia potrzeb bytu, wtedy powstaje nieproporcyonalność pomiędzy wytwórczością a spożyciem, wzrastająca równomiernie z postępem w dziedzinie cywilizacyi. Ponieważ niepodobna podnieść wytwórczości nad poziom spożycia—przeto część sił robotniczych skazaną zostaje na bezczynność, a rozrost kapitału w zarodku stłumiony. Dzieje się to głównie drogą usuwania doskonalszych narzędzi pracy i marnowania sił ludzkich w nieprodukcyjnym, drobnym przemyśle. „Słysząc skargi, powiada autor, na brak zajęcia i niepojętą sprzeczność pomiędzy nędzą a nadprodukcyą, myślimy zwykle o tych tylko stosunkowo nielicznych jednostkach, które całkiem roboty są pozbawione i głód cierpieć muszą dlatego właśnie, że istnieje nadmiar produkcyi robotniczej, podczas gdy zapominamy o nierównie znaczniejszej liczbie tych, których siły nad wyraz nieprodukcyjnie wegetują w drobnym przemyśle wiejskim i miejskim. Właśnie z powodu, że praca odpowiednio uzdolniona wytwarza dziesięć razy tyle, aniżeli potrzeba na życie, w społeczeństwie, które pracowników za produkcyę ich niezbędnem tylko wynagradza utrzymaniem, przeważna ich większość z konieczności na polu wytwórczości nie może znaleźć miejsca."

Tylko przywrócenie równowagi pomiędzy produkcyjnością a spożyciem, to jest oddanie całkowitego dochodu z produkcyi na użytek robotników, może położyć koniec podobnemu stanowi rzeczy, który gwałtownie wstrzymuje rozwój wytwórczości i bogactwa, a tem samem w wysokim stopniu wrogim jest dla cywilizacyi.

Ażeby wyzwolić się z pod opieki klas posiadających, zdaniem autora, masy pracujące powinny zdobyć sobie zdolność uorganizowania się w celu prowadzenia swobodnej, od dzisiejszych chlebodawców niezależnej, równouprawnionej produkcyi. Do tego niezbędnem jest przedewszystkiem moralne i materyalne ich podniesienie. Pierwszym zaś i najważniejszym krokiem do tego podniesienia jest rzeczywiste i ogólne podwyższenie płac robotniczych, co nawet doskonale może nastąpić w obrębie istniejącego porządku społecznego. Podwyższenie to w takim razie dokonałoby się nie kosztem procentu od kapitału, zysku przedsiębiorcy lub renty gruntowej, ale sposobem spotęgowania produkcyi. Im lepiej praca jest wynagradzaną, im odpowiednio do tego spożycie szerzej się rozpościera, tem więcej sił robotniczych i kapitału może znaleźć zastosowanie; wyzysk zyskuje na rozciągłości to, co traci na natężeniu. A podwyższenie płac jest możliwem dlatego, że wysokość ich nie zależy od podaży i popytu — podaż pracy stale przeważa — ale ograniczoną zostaje przez najniższą skalę potrzeb utrzymania (Existenzminimum), którą znów warunkują nie stosunki, panujące na rynku, lecz czynniki moralne i etyczne, zwyczaje stanowe i opinia publiczna.

Mówiąc w dalszym ciągu o wielkiem znaczeniu, w tej mierze opinii i władzy państwowej, które zdolne są wymódz na pracodawcach podwyższenie płac, bez wkraczania wprost w dobrowolny stosunek umowny pomiędzy nimi i robotnikami — Hertzka dodaje: „Gardzimy lichwiarzem, który korzysta z potrzeby pieniężnej dłużnika w celu wyciągnięcia zeń ostatniego grosza, a wiele prawodawstw czyny tego rodzaju karze wprost jako przestępstwa. Tych natomiast, którzy wyzyskują potrzebę pracy dla własnej korzyści, mienimy dobroczyńcami ludzkości, a jeśli uda się im wyzyskiwanie to na wielką przeprowadzić skalę, obsypujemy ich dostojeństwami i zaszczytami. A jednak — lichwa pracy o wiele wstrętniejszą jest, a przynajmniej w skutkach zgubniejszą, aniżeli lichwa procentowa. Procentowicz poprzestaje na mieniu dłużnika i w ogólności nie karmi się ciałem i krwią ofiar swoich. Na jedną ofiarę, którą chciwość lichwiarza pieniężnego zapędziła do grobu, zliczyć można tysiące zamęczonych, przedwcześnie w nędzy zmarłych robotników, którzy przy niedostatecznem pożywieniu i niezdrowem pomieszkaniu upadają pod ciężarem pracy nad siły. Przeciwko lichwiarzom pracy tedy niechaj również zwróci się opinia ogółu, niechaj w lepszem towarzystwie tak samo ich nie znosi, jak lichwiarzy pieniężnych, a za lichwiarza pierwszego rodzaju niech uważa każdego, kto pomimo powszechnie wiadomych, obfitych zysków z przedsiębiorstwa, robotnikom swym pozwala umierać z głodu..."

(D. n.)

Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZTUKA.

JAN LAM.

IV.

Humoryści, jeżeli są poważni, bywają poważniejsi, niż ludzie, którzy śmieją się rzadko. Podobnież, jeżeli malują charaktery dodatnie lub ujemne, nakładają tyle farb jasnych lub ciemnych, ile ich życie nigdy nie gromadzi i nie łączy. Poczciwiec humorysty będzie uosobieniem wszystkich cnót, łotr wcieleniem wszystkich występków, w potędze możliwie najwyższej. Zdawałoby się na pozór, że między satyrą a melodramatem rozciąga się taki olbrzymi przedział, jaki zachodzi między przeciwległymi biegunami, że nawet przeskok z jednej sfery do drugiej jest niewykonalny. Tymczasem leżą one obok siebie, bo obie należą do pola — karykatury. Nikt mniej od humorysty nie ma poczucia prawdy — czyli, jak dziś mówimy — realizmu. Jego umysł pracuje ustawicznie w kierunku przesady, a o rzeczywistość dba zaledwie tyle, ażeby ona w źdźbełkach miała podobieństwo tego, co on przedstawia w górach. Gdyby chciał być wiarogodnym, nie byłby ani dowcipnym, ani zabawnym. Otóż wyobraźmy człowieka, który zmyśla walkę rycerza średniowiecznego z wiatrakami, losy teologa niemieckiego, któremu dzicy w Afryce kazali wysiadywać jaja, lub wreszcie długą naradę organizatorów powstania nad wartością polityczną sucharów okrągłych i kwadratowych — czy on, nastroiwszy się poważnie, może nagle odzyskać utraconą miarę i odrzucić swoje szkła powiększające? Bynajmniej. Pozostanie humorystą.— tylko mimowolnym i mimowiednym, narysuje charaktery tak okropne zbrodniami lub idealne poczciwością, że również śmiać się musimy, jak z przerażających powieści gimnazistów.

Tadeusz Zamecki, wdowiec czterdziestoletni — „pozytywista, widzący rzeczy, jakiemi są" — poznał i pokochał Helenę Podwalską, córkę bigotki, osiodłanej przez księży i matkę nieprawego dziecka, którego ojcem był piękny hultaj Alfred Zgorzelski. Jeszcze przed ślubem Zamecki dowiaduje się o tym tajemniczym związku i jego ukrytym na wsi owocu, ale spodziewa się, że przyszła żona zatrze ten błąd uczciwem życiem, przywiązaniem do męża i uczuciami macierzyńskiemi. Utaiwszy bowiem swój szlachetny zamiar przed Heleną, odnajduje jej córkę i oddaje na wychowanie Karolowi Skryptowiczowi, oryginałowi szczególniejszej natury, który nie potrzebując pracować, ciągle śpi. Zamecka nie domyśla się całej tej wspaniałomyślności i z początku jest wierną żoną, podtrzymywaną w granicach obowiązku przez szacunek dla męża i wzgardę dla dawnego kochanka, który niezmordowanie traci pieniądze i dla zdobycia ich fałszuje weksle. Pomału wszakże, gdy Zgorzelski osiadł w sąsiedztwie na obdłużonym majątku, i gdy go Zamecki wpuścił do swego domu, odradza się występny stosunek, polegający na okradaniu „starego" dla pokrycia „przyjemnej łobuzeryi" młodego. Helena zrobiwszy jeden krok na tej drodze, musi zażegnywać wybuch skandalu innymi: do wspólki więc z Alfredem wystawia i podrabia weksle, rabuje męża i w końcu nienawidzi go za przewagę moralną. Gdy wreszcie odkrywa, że jego wychowanka jest jej dzieckiem, zamiast uczuć wdzięczność, uczuwa wściekły gniew i postanawia swego dobroczyńcę otruć. Plan nie udaje się, bo go w części paraliżuje sprowadzona wreszcie do matki córka. Wtedy zbrodniarka dostaje pomieszania zmysłów i umiera.

Taką jest osnowa *Idealistów* (1876) Lama. Autor zamierzył w niej przeciwstawić cnoty potępionych „pozytywistów“ występkom obłudnych idealistów. Na obie wszakże strony pokładł tyle jaskrawości, że stworzył obraz karykatur dobra i zła. Przypatrzmy się jego charakterom.

„Pozytywistą“ jest naprzód Zamecki. Dźwiga on tyle cnót, że połowa ich wystarczyłaby mu do kanonizacyi, tembardziej, że z niebem niebardzo zadziera, skoro usiłuje swej żonie dowieść istnienia Boga i zaleca jej czytać Chateaubrianda. Poślubia kobietę zhańbioną, która wcale mu nie wyznaje swego błędu i nie daje żadnego zadatku przywiązania. Zapewnia jej rejentalnie znaczną sumę, bez względu na to, czy zostanie jego żoną, czy nie, pozwala jej wyłudzić od siebie 20,000 złr. dla zadowolenia pretensyi kochanka, oczyszcza z długów majątek jej matki — wszystko to przed zawarciem związku, kiedy przytem wierzy, iż „Helena nie kochała nikogo i nie była zdolną kochać,“ co „dawało rękojmię (!), że będzie nosiła jego nazwisko, nie czyniąc mu ujmy.“ Nie dość tego. Córkę jej potajemnie wychowuje i kocha, uwodziciela sprowadza do swego domu; chociaż jako „pozytywista“ ma widzieć rzeczy iludzi, „jakimi są,“ nie widzi wcale, jaką jest jego żona, cieszy się jej konnemi wycieczkami z Alfredem, nie kontroluje jej szalonych wydatków, godzi się na znaczną ofiarę pieniężną dla obdarowania zakładu religijnego, którego nie uznawał, znosi cierpliwie zawód nadziei obudzenia w niej uczucia macierzyńskiego na widok córki, wreszcie, gdy po chybionem otruciu go, poznaje całe pasmo zbrodni Heleny i jej wspólnika Zgorzelskiego, daje jeszcze łotrowi „banknot na drogę.“ Podobnego „pozytywistę“ chyba natura nie wydała, nawet stwarzając niedołęgów.

Helena ma nieprawe dziecko z hultajem, poślubia Zameckiego bez miłości, okrada jako żona, uczestniczy w oszustwach, nienawidzi swej córki i radzi jej ojcu, ażeby ją uwiódł, namawia go do podpalenia i przyniesienia trucizny, usiłuje zgładzić męża — nie posiada w sobie żadnych innych pożądań, prócz tych, dla których zbudowano kryminały. Jest to w piękne ciało obleczony potwór, wstrętne zwyrodnienie natury człowieczej. Nie zdradza nawet żadnych namiętności, wygląda jak ładna maszynka do robienia złego. Z frazesów Sanda wyłuskała sobie zgniłe ziarno występku, które rozrasta się w niej ślepo, bezcelowo. Zdradzając męża, nie czyni tego przez miłość dla kochanka, którym gardzi i poniewiera, ale uprawia zdrożność jako sztukę dla sztuki. Nic ma w niej ani pierwiastków ludzkich, ani zwierzęcych, tylko mechanizm niszczący cudze szczęście.

Para ta, głównie przedstawiająca pozytywizm i idealizm, zaledwie zdaleka przypomina rzeczywistość, jak ją przypominają najdziwaczniejsze karykatury. Wszystko w nich tchnie przesadą. Czy robią źle, czy dobrze — nie wierzymy autorowi, a wesoły ton jego opowieści nie stanowi śmiechu, zakrywającego łzy, lecz tragikomedyę zmyśloną dla dzieci. Nawet z lekka szkicowane postacie są tego samego kroju. Karol Skryptowicz — „pozytywista“ — sypia po kilka dni z rzędu; Alfred — „idealista“ — fałszuje weksle, namawia do kradzieży kochankę, stara się uwieść własną córkę, podpala swoje budynki dla otrzymania asekuracyi, podpala stodołę Zameckiego dla upozorowania otrucia atakiem sercowym — jest również łotrem papierowym, nakreślonym wbrew prawom natury. W tem gronie błąka się młody technik — „pozytywista“ — gwałtem ciągniony do ożenienia się z nieprawą córką Heleny, gdyż nie może on w sobie przełamać skrupułów przeciw zaślubieniu panny bogatej. Kogo tknąć, wszyscy albo sączą z siebie cnoty, jak żywicę, albo brodzą w występkach, jak w zgniłem bagnie. Humorysta, który drwi z głupoty ludzkiej, gotów każdej chwili ją wynosić pod niebiosa, gdy zacznie mówić poważnie.

„Idealizm“ w tej powieści jest maską nikczemnych instynktów, „pozytywizm“— szorstką korą cnót idealnych. Bo Lam w swych poglądach bardzo rzadko potrącał o struny jakiegokolwiek radykalizmu i najchętniej grał na konserwatywno-liberalnych. Tak np. księża występują w jego powieściach zwykle parami — jeden zakuty bigot, brudny sknera i polityk, drugi — miłosierny, wyrozumiały i szczodrobliwy. „Dogmatyczna strona religii — mówi Skryptowicz, tak szorstka i sztywna w ustach teologów i często tak fatalnie podkopująca to, czego ma być fundamentem, udzielana przez matkę nabiera uroku cudownej i nieokreślonej legendy, której *niezrozumiałość nie czyni uszczerbku* i z którą łączą się w nierozłączną całość zasady moralne, wszczepione za młodu. Księża, którzy usiłują uzasadnić i udowodnić wszystko za pomocą dyalektycznej filozofii, burzą zazwyczaj sami to, co chcieliby wzmocnić.“ Lam więc był nawet zwolennikiem tej metody pedagogicznej, którą zalecają katecheci — uczenia religii „bez rozbioru“ a nawet w tym warunku widział szczególną korzyść. Inny „pozytywista“— Wacław—twierdzi: „nie lubię kobiety bez religii.“ Trzeci „pozytywista“ (naturalnie krewny duchem autora) — Zamecki pisze do przyjaciela o żonie: „Sądzi ona nas „pozytywistów,“ jako ludzi, wprawdzie niepozbawionych „czci i wiary,“ za jakich nas przedstawiają Stodolscy (księża), ale jako ludzi bez żadnej wiary i bez czci dla czegokolwiek. Usiłowałem przekonać ją, że tak nie jest, a wśród tych usiłowań schwytałem ją na tem, że sama nie wierzy nawet w istnienie Boga. To dało nam powód do dysputy teologicznej, która wznawia się jeszcze ciągle od czasu do czasu.“ Według Lama przeto „pozytywista“ jest to rozumny czciciel Boga, „idealista“ zaś — zakapturzony ateusz.

Głowy do pozłoty i *Idealiści* stanowią pewien zwrot ku celom artystycznym, ku umiarkowaniu karykatury; zwrot ten wszakże trwał niedługo i Lam z całą mocą wrócił do pierwotnego kierunku w *Dziwnych karyerach.*

(D. n.)

DLA LUDU.

Lwów, 16 sierpnia.

Jeżeli chcecie mieć namacalne dowody, jak to nasza szlachta i duchowieństwo ociemniają lud, weźcie do ręki gazetę, wydawaną za „krajowe“ pieniądze, a zostającą pod redakcyą głośnego autora *Kłopotów starego komendanta.* Oto program *Niedzieli*, tylko nie urzędowy, zapowiadający złote góry, a obdzielający lud cierpkimi owocami niespełnionych obietnic — idziemy ślepo za duchowieństwem, trzymamy się poły wysokich dygnitarzy, zwłaszcza tych, od których ostatecznie zależy zapomoga, bijemy czołem przed rządem austryackim i Najjaśniejszym Panem, ale nie spuszczamy z oka „osobistości,“ mających znakomite w kraju wpływy, słowem — na pierwszem miejscu stawiamy „od Boga postanowione tak duchowne jak i świeckie władze,“ na ostatnim — biedny ludek, dla którego to pismo przeznaczamy. Jeżeli nie wierzysz czytelniku, przejrzyj jeden tylko numer gazetki, a przekonasz się o prawdziwości tych słów — weź np. ostatni z sierpnia b. r. Na wstępie rzecz teologiczno-dogmatyczna p. t.: „Uroczystość Najśw. Panny Maryi Śnieżnej.“ Chłop, otumaniony kieliszkiem tego duchownego alkoholu, dostaje w feljetonie (w tym numerze mamy powiastkę p. t. Karanie słuszne — lekarstwo duszne) odgrzewaną strawę, po prostu cuchnące mięso, oblane sosem barankowej tendencyi i podane na półmisku z epoki napoleońskiego klasycyzmu. Człowiek trafiony tu kamieniem w głowę, deklamuje najspokojniej o przebaczeniu („Dwaj trynitarze“). Obok tych papierowych wzorów cnót stawia się ciułanie grosza za przykład naśladowania godny, np. w życiorysie kupca, który tym sposobem z posługacza został milionowym panem, a *nic nie zrobił dla drugich*, krom tego, że nazbierał dużo pieniędzy („Życiorysy uczciwych ludzi“). Przy tem chłop słyszy tu dawno zapomnianą gwarę książkową, parobczak np. nazywa się „młodzieńcem, ubranym skromnie w szaty wiejskie“ itp. Następują potem artykuły praktyczne, pisane przez ludzi fachowych — to jedyne, zdrowe ziarno na całej chwastem obrosłej i zasianej kąkolem *Niedzieli.* Lecz głos, nawołujący do ulepszenia gospodarstwa, zagłusza stare ślamazarstwo, wychwalające np. Bułgaryę za to, że „praca odbywa się tu jeszcze starodawnym, od przodków przyjętym zwyczajem, z większym nakładem siły i czasu, ale niemniej skutecznie.“ Tak więc, gdy jedna ręka niesie kaganiec oświaty, druga gasi pochodnię rozumu, drukując tłustemi literami, że „Pan Bóg wybrał *głupstwa* tego świata na to, aby *zawstydzić nędzę,*“ albo polecając w czasie burzy i piorunów palenie świec gromnicznych jako *najskuteczniejszy środek przeciw gromom.* Dalej idzie stęchła legomina p. t. „Ze świata“ ma się rozumieć politycznego, pełno tu fałszywych, a nawet fałszowanych wiadomości. „Bismark np. zmiarkował, że zadzierać mu trudno z głową Kościoła, dla tego, choć *ze wstydem ustępuje,*“ „ten wielki kanclerz *musiał* przed Ojcem Św. ustąpić.“ Najbardziej może znamiennym przykładem zastosowania się *Niedzieli* jest sprawa naftowa, w której interesowani są pp. posłowie, skutkiem czego stanowisko redaktora bardzo jest trudnem.

Wiadomości polityczne zawierają po prostu szereg bzdurnych zmysleń. Kilka próbek: „W Rosyi chcą, aby rosyanie pozamieniali się na majątki z polakami, to jest: żeby polska szlachta wyniosła się do Rosyi, a do Polski, żeby sprowadzić rosyan.“ Albo „z Petersburga donoszą, jak to w Rosyi pobierają podatki. Oto inspektor podatkowy każdego z gospodarzy, który nie może zapłacić podatków, każe kłaść i bić rózgami. W ten sposób już 1,500 dłużników skarbowych oporządził — ładna egzekucya!!“

O robotnikach podczas krwawych zajść, czy to w Anglii, czy w Belgii, powiada redaktor, że „*różne awantury* po ulicach wyprawiają,“ albo przedstawia ich jako prostych złodziejów, którzy „rabują sklepy, palą budynki.“ Rozruchy tarnowskie, to „niedorzeczne baśnie,“ za rozszerzenie których „władza surowo karać będzie.“ Czytamy: „Donoszą z okolic Tarnowa, że głupie gadaniny i strachy nie ustają. *Dlatego* (!) wojsko tam stojące dostało rozkaz mieć ostre ładunki do strzelania.“ Co za szlachetna logika! „Ostrożnie tedy — zaczyna rozkazującym tonem, który potem łagodzi — bądźcie spokojni, bo nad bezpieczeństwem naszem czuwa cesarska władza, czuwa duchowieństwo...“ artykuł kończy się wykrzyknikiem, jakby do psów: „Siedźcie cicho, pracować!“

W czasie wyborów sądziłbyś, że pismo ludowe zdobędzie się na tyle poczucia swej godności, iż poleci, choćby dla zachowania *pozorów*, człowieka z ludu, albo przynajmniej jakiegoś obrońcę interesów ludowych, ale gdzie tam! „Sami chłopi — zdaniem *Niedzieli* — zmiarkowali, że *wiele* im

eszcze brakuje do tego, aby mogli w Sejmie zasiadać.“ „Najlepiej więc i najbezpieczniej — powiada na innem miejscu — posłuchać komitet centralny“ (Tak!) „Nie będzie ten nowy poseł takim, jakby sobie życzyli, ha! to przynajmniej każdy wyborca ma czyste sumienie, że poszedł za radą ludzi mądrzejszych!“ Przeciw temu, kogo raz wybiorą, choćby był nieponiem, nie wolno występować: „niech potem nikt nie narzeka na nikogo, tylko na siebie.“

Polacy żyją z rusinami w zgodzie, jak Adam z Ewą w raju. Jeżeli jest jakaś „przyczyna sporów,“ to — Naumowicz. „Gdyby on został w Rosyi, znikłyby swary pomiędzy rusinami i polakami, których jest głównym sprawcą.“ Tak zapewne kazał pisać konsystorz, bo nie przypuszczam, żeby autor *Kłopotów starego komendanta* dla przypodobania się duchowieństwu wpadł sam na tak genialny pomysł.

Wogóle na wszystkie sprawy ludzkie, a nawet na przyrodę patrzy *Niedziela* przez szkła pożyczane w składzie szlachecko-religijnej opinii. Poddaństwo chłopa np. w epoce pańszczyznianej nazywa „opieką szlachty,“ a zwierzęta, nie wyjmując nawet psów, „są nierozumnemi stworzeniami boskiemi.“

Skosztujmy teraz „nowin z kraju,“ któremi się karmi mózg chłopski.

W Kanczudze odbyło się d. 26 b. m. dziękczynne nabożeństwo za szczęśliwe wyzdrowienie pana marszałka Zyblikiewicza, zamówione przez tamtejszą szkołę koronkarską, która mieni go opiekunem swej pracy.

Ks. biskup krakowski Dunajewski udał się 20 b. m. do nowoprzyłączonego sobie dekanatu nowotargskiego, gdzie odbywa wizytę kanoniczną.

W Kamionce Hrumitowej obchodził d. 26 lipca r. b. ks. Jakób Nowakowski, kanonik i proboszcz obrz. ł. jubileusz kapłaństwa swego, którą to uroczystość łącznie z odpustem św. Anny z niezwykłą uroczystością święcono“ itp. itp.

Wogóle znajdziesz tu życzenia od redaktora dla „asystentów tronu papieskiego,“ żale jego na śmierć infułatów, odszczególnienia dla śmietanki społeczeństwa, doniesienia o stanie zdrowia, o przyjęciu orderów, lub o wyjeździe dostojników szlacheckich, ale nadaremnie szukałby spragniony wieśniak wiadomości, najbliżej go dotyczących.

Na ostatku — „Rozmaitości,“ „*Dzień letni w Watykanie*: Przez lipiec, sierpień i wrzesień Ojciec św. odpoczywa. Najulubieńszem jego zajęciem jest słuchanie odczytywania listów itp.“ Podczas desertu toczy się rozmowa na temat, podany zawsze przez wyższe władze, opowiadają sobie dykteryjki — „jak do nieba dostał się wypadkiem jeden prusak,“ dzięki słabemu słuchowi starego Piotra, który myśląc, że to mnich (prusak meldował się po niemiecku „ich“) odemknął drzwi i wpuścił go do nieba.“ Albo tego rodzaju nauki: „Powtykane na wiosnę kije przy gościńcu rządowym (!) w rzeszowskiem przyjęły się i zazieleniły listkami (w sierpniu). Sprawdziło się więc przysłowie: Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści!“

Niedziela szerzy wprost zabobon i ciemnotę między ludem, dowodząc np. „jak wiele może u Boga przyczyna św. Józefa,“ podając na zarazę — jako najskuteczniejsze lekarstwo — procesye, opisując, że w czasie jednej widziano wyraźnie w powietrzu anioła, który miecz zakrwawiony chował do pochwy — po procesyi zaś zaraza ustała.“ „Przyczyną choroby — według *Niedzieli*, bywają najczęściej grzechy. A więc jeśli dotknie cię choroba, zastanów się, czyś przez grzechy nie zasłużył na to nieszczęście, a chcąc by Bóg zdjął z ciebie krzyż — przedewszystkiem staraj się wygnać z siebie grzech.“ Materyalistami zbyt przywiązanymi do mamony są ci, „którzy wpadłszy w chorobę, sprowadzają lekarzy nieraz z daleka by odzyskać zdrowie — zamiast kapłana!“ Ci materyaliści bają o lepszem karmieniu chłopa, przecież „nie masz zdrowszego, ani posilniejszego pożywienia dla człowieka pracującego ciężko, jak żytni chleb razowy,“ a przytem częste posty... „post podnosi umysł, tłumia pokusy grzechowe, post jest mistrzem cnót — jak komunia najwyższą chwałą.“ Trzeba tylko jeszcze odwiedzać kościoły i miejsca święte — bo „tam czekają nas najwyższe rozkosze.“ Podczas nabożeństwa (na rezurekcyi) „przejmuje wszystkich pobożny dreszcz i przypomina się lekkie *drżenie ziemi*, jakie było przy zmartwychwstaniu Pana Jezusa.“ Dość — dość tej trucizny, kroplami spadającej w samo serce ludu! Błędów językowych nie zgarniamy.

Tak się przedstawia w Galicyi pismo dla ludu, zostające pod strażą najwyższej władzy autonomicznej i duchownej, które przy każdej sposobności wyrażają swoje największe zadowolenie z posłusznego pupila, wydawane za drogie pieniądze instytucyi, mającej za jedyny cel oświatę ludu, pod redakcyą powieściopisarza, cieszącego się w kraju niemałym rozgłosem.

Henryk Biegeleisen.

LITERATURA POLSKA.

Szlachetny czyn mieszczan z Mrzygłodu, z pamiętnika Józefa Jakubowicza, wydał Józef Żywicki z przedmową. Poznań, 1886.

Są serca zapalne, łatwo i szybko rozpłomieniające się w powodzeniu, ale jeszcze łatwiej i prędzej zrażające się i stygnące w nieszczęściu; są to charaktery szlachetne, ale słabe, niezdolne utworzyć nic stałego, każda klęska napełnia je pesymizmem. Wszystko widzą czarno i żałują tego, co zrobiły; pod wrażeniem nieszczęścia, wszystkie przedmioty, na które patrzą i wszystkie fakty, które stały się wobec nich, przedstawiają się im jak w stłuczonem zwierciedle. Są podobne do ludzi, którym strach odebrał przytomność i zdolność jasnego widzenia rzeczywistości. Ich poglądy, jako publicystów i historyków, są prawie zawsze fałszywe lub bałamutne.

Autor wyżej przytoczonego pamiętnika, Jakubowicz, gorąco zajmujący się w swoim czasie literaturą, będąc dalekim od optymizmu, miał te głęboką wiarę w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości, która go chroniła od choroby pesymizmu. Nawet wśród wypadków, tak strasznie przygnębiających, jak „rebelia“ w Galicyi z 1846 r., gdy chłopi dali się użyć do kontrrewolucyi przeciwko demokratycznemu powstaniu, które im niosło wolność, własność i równość wobec prawa, nie zwątpił zupełnie. Taki charakter męski, dzielny, zawsze równy, zawsze pewny, wytrwały i poważny; to zdrowie duszy posiadał Jakubowicz i zalety te przebijają w jego pamiętniku. Z pracy jego, na większe rozmiary rozpoczętej, pozostał tylko jeden ustęp, ogłoszony obecnie przez Gillera i Żywickiego. Na tle pierwszych wypadków chłopskiego powstania opowiedziano tu szlachetny czyn mieszczan z Mrzygłodu (w Sanockiem), którzy uderzyli na gromadę chłopów, rozbili ją i oswobodzili od niechybnej śmierci autora i jego towarzyszów. Mieszczaństwo polskie — to nie „burżuazya“ dzisiejsza. W epoce rozkwitu Rzeczypospolitej polskiej miało ono znaczenie swoje w polityczmym składzie ojczyzny, zarówno w rządzie jak w sądzie, w boju i w pokoju. Miasta polskie słynęły niegdyś ko przemysłem i handlem. W czasach późniejszych straciły one wspólne ze stanem szlacheckim przywileje i nastały potem czasy niesprawiedliwości dla nich. Lecz mieszczaństwo nie upadło na duchu, broniło praw swoich wobec sejmów, upominało się krzywd swoich u królów, a w ostatnich czasach przelewało krew i składało ostatki mienia swego w potrzebie na ołtarzu ojczyzny. Na to się każdy zgodzić musi kto poznał dzieje lat 1794, 1831, 1848 i 1863 r. Wobec tego więc wydaje się przykład, a raczej obowiązek miłości bliźniego, który tu podniesiono do „czynu niezwykłego i wzniosłego, przeświecającego społeczeństwu“ jako bardzo drobny i nieznaczący. Co gorsza, stanowisko, z jakiego patrzy autor na tę, jak się wyraża „rozbestwioną bandę“ chłopów, zwaną także „tłuszczą“ albo „hordą,“ jest tak jednostronne, że i pamiętnik jego, jakkolwiek zawiera ciekawe i charakterystyczne szczegóły, traci w naszych przynajmniej oczach połowę swej wartości. Światła i cienie tych strasznych wypadków, na których wspomnienie krew ścina się w żyłach, nie są sprawiedliwie rozłożone; autor bowiem jest wylanym dla mieszczan, widząc w nich tylko swych „zbawców z rąk barbarzyńców, co się nad słabym (!) znęcają,“ z drugiej strony zaś jest zbyt surowym i bezwzględnym dla „krwi i rabunku chciwego“ chłopstwa. Wypadki w Sanockiem, których Jakubowicz był nie bardzo jeszcze poturbowanym świadkiem, wobec nadużyć i uciemiężenia, jakich się dopuszczała na chłopach szlachta, chociaż nie mogą iść w porównanie z okropnościami rzezi tarnowskiej, są jednak bardzo zasmucające i nastręczają niejedną uwagę o tym brzemiennym w skutki roku 1846, który był początkiem i zarzewiem powszechnej rewolucyi (lutowej).

Wiadomo, że centralizacya towarzystwa demokratycznego organizowała wtedy powstanie zbrojne w Galicyi, pierwsze, które miało poniekąd cechę rewolucyi „społecznej,“ bo aczkolwiek podjęte w celu wywalczenia niepodległości, zamierzyło przeprowadzić usamowolnienie i uwłaszczenie ludu wiejskiego. Był to środek polityczny dla dobycia nowej siły z łona społeczeństwa kilkunastomilionowego. Rząd austryacki, aby złamać opór polski i chęć oderwania się od Austryi, postanowił także wyzyskać stosunki poddańcze, a przepaść, jaka istniała między szlachtą i chłopami, uczynić jeszcze głębszą. Jakubowicz przytacza słowa Kreishauptmana Milbachera, tworu Metternicha, który głośno się odzywał na początku 1846 r. z tem, że „na jego skinienie chłopi dostawią szlachtę na postronkach do cyrkułu“ i doradzał też rządowi, aby „stłumienie wybuchnąć mającego powstania w Galicyi pozostawił samym chłopom.“ Niema nic straszniejszego nad lud roznamiętniony. Wściekłość jednostki jest bezpamiętną i dziką, lecz czemże ona w porównaniu z tem, gdy tysiące spoją się jednym łańcuchem i w pierś każdego wleje się spotęgowany żar tysiąca. Naówczas nie lud to, ale morze, którego fale biją o brzeg niepowstrzymane, niszcząc co spotkają w biegu.

Taka niszcząca burza spadła w tym roku zemsty na głowy szlacheckie. A nietylko chłopi, ale i szlachta chodaczkowa, wielce zresztą do nich zbliżona, dała im się we znaki. „Nie było — powiada Jakubowicz — ani jednego szlachcica powożącego, któryby wymijając, nie smagał nas batem. Niejednemu też z nas dostało się kolbami od władzy, do której po opiekę i bezpieczeństwo udawać się przyszło.“ Poznała wtedy szlachta, co znaczy i czego dokonać może to „ciemne,“ robocze „bydło,“ ale doniosłości czynu i jego przyczyn nie zrozumiała; nie zrozumiał ich i Jakubowicz, chociaż spisując znacznie później swoje wspomnienia, miał czas i sposobność rozejrzeć się po świecie. Najciekawszy może epizod pamiętników — to czas pokuty po owej krwawej lekcyi, kiedy zbitych i po-

rąbanych do kości zawieziono do cesarsko-królewskiej kaźni cyrkułu, w której więźniowie „pragnienie straszne, zwiększone silnem rozgrzaniem pieców żelaznych, gasili lizaniem skroplonej pary na szybach okiennych," a które po męczarniach „hajdamactwa" wydawało się rajem na ziemi. Ostatnią wreszcie część pamiętników stanowi ciekawy przyczynek do dziejów biurokracyi, pod której obuchem do dziś zostajemy.

Z.

KONKURS TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.

Czytelnicy przypominają sobie zadania i warunki ogłoszonego przed kilkoma miesiącami konkursu *Tygodnika*. Chodziło o napisanie wiersza „przez kobietę — o kobiecie" i nowelki na temat dowolnie obrany. Z pomiędzy nadesłanych utworów miano wybrać trzy poematy i trzy nowele, wydrukować je w *Tygodniku*, wyrok zaś, przyznający palmę pierwszeństwa jednemu z poematów i jednej z nowel — pozostawić publiczności.

Najpierwej ukazały się w druku poezye. W wierszu „Do Granicy," pomimo rażącego niekiedy naśladownictwa Słowackiego, można było od razu rozpoznać pióro p. Maryi Konopnickiej. Treści do tego utworu dostarczył jeden z epizodów wydalań pruskich; pomijając przeto nawet istotne zalety wiersza — sam jego przedmiot zapewniał mu powodzenie. „Z teki Grottgera" — utwór tejże autorki, obok większych może zalet poetyckich i siły języka, posiadał tę wadę, iż dla wielu osób, nieznających obrazków Grottgera, był niezrozumiałym. Natomiast trzeci utwór — cechujący się wprawdzie niepospolitą wartością formy — ale zawierający myśl znacznie głębszą niż dwa pierwsze — jeszcze mniej mógł rachować na powodzenie. Zwycięstwo odniosła p. Konopnicka: wiersz „Do granicy" otrzymał największą ilość głosów. Wyrok ten, jako wyraz obecnego nastroju uczuć narodowych, był całkiem słuszny; jako wykładnik naszych sądów estetycznych — chybiony.

Po wierszach ukazały się nowele. Dotychczas zdołano zaledwie ukończyć druk ostatniej i rozesłać odbiorcom *Tygodnika* karty zwrotne — do głosowania. Nie czekając jego wyników, pozwolimy sobie w kilku wyrazach oznaczyć treść i wartość tych trzech prac. Przedewszystkiem zauważyć tu trzeba, że stoją one znacznie niżej od poematów — co jest tem dziwniejsza, że do współzawodnictwa mogły tu należeć nietylko wezwane, ale i wezwani.

Nowela pierwsza „Kuba Trojak," będąca kwintesencyą naszej domorosłej socyologii, przedstawia typ bezrolnego ex-żołnierza, który służąc za parobka u rozmaitych gospodarzów wiejskich, dopomaga sobie w interesach trzebieniem pańskiej zwierzyny. Rzecz jasna, iż tylko taki, zarażony obcymi wpływami, osobnik, ulegający nadto namowom czarnych charakterów (żyda kupującego zwierzynę), mógł powziąć zamiar położenia kresu swej nędzy materyalnej i pozyskania względów ukochanej Magdy przez... zabicie obładowanego pieniędzmi dziedzica. Już miał go sprzątnąć, gdy wtem stanęła mu w myśli nieboszczka pani, która go kiedyś „przygarnęła;" jakoż dziedzic, cierpiący manię jeżdżenia konno po nocy, uszedł szczęśliwie śmierci, a w rok potem wyprawił Kubie wesele. Plytkość i stereotypowość socyologicznych pomysłów tego utworu — przerażająca; mógłby on przeto rachować na powodzenie, gdyby nie dwa inne, w których zagrano na strunach dźwięczniejszych, niż puzony „większej własności."

„Odmieniec" — jest to nieszczęśliwe chłopiątko, któremu przyroda poskąpiła wzrostu. Nie lubi go za to ojciec, gospodarz wiejski i oddaje go chętnie dziadkowi, który pełniąc obowiązki pańskiego leśnika, wychowuje wnuczka. Leśnik, stary weteran, opowiadaniami o dawnych dziejach budzi w chłopcu uczucia patryotyczne, jakich ani rodzeństwo, ani rodzice jego nie znają. Myśl tego utworu głębokością swą przenosi inne i gdyby autor chciał gawędziarstwo i opowiadanie zastąpić żywymi obrazami, powiastka miałaby niepoślednią wartość.

Bohaterką trzeciej powieści „Wydalona" jest również dziecko. Dziesięcioletnia Dorota przedstawia typ małej, skrzętnej pracowniczki, z rodzaju tych, którym nędza mas ludowych oddawna już kazała rozstrzygnąć sprawę emancypacyi kobiet: mają one prawo zamęczania się pracą od dziecka. Jako córka jednego z mieszkańców Królestwa, który mieszkał kiedyś i umarł w Poznańskiem, musi ona opuścić Księstwo, gdzie ma opiekunów i przenieść się na tułaczkę. Żywy, nerwowy temperament dziewczęcia uległ w walce z brutalnym cynizmem „wydaleń." Dorota więdnie z obawy i niepokoju i ostatecznie umiera prawie w chwili wykonywania nad nią nieludzkiego wyroku. Powiastka ta grzeszy zbytecznem nagromadzeniem cennych zresztą materyałów i nieprawdopodobieństwem, oraz wyjątkowością paru szczegółów. Natomiast żywość niektórych obrazów, prawda psychiczna i życiowa, którym tu i owdzie udaje się odnieść zwycięstwo, nadają powiastce cechę prawdziwego, choć nie dość wyrobionego jeszcze, lub może zaniedbującego się talentu.

Konkurs *Tygodnika* nie wzbogacił naszego piśmiennictwa utworami pierwszorzędnej wartości, wykazał on wszakże dwie znamienne cechy chwili obecnej: 1) znaczna większość utworów (cztery na sześć) odznacza się dążnością patryotyczną, 2) bohaterami wszystkich prawie (oprócz Safony) są postacie z ludu. Czyżby sprzęganie dwóch tych pierwiastków miało być wyrazem budzącej się z wiekowego uśpienia samowiedzy?

J.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 sierpnia.

Odrodzenie prowansalskie. — Plejada poetów Prowancyi i Langwedocyi. — Związek felibrów. — Plany sięgające dalej.

Niewielu paryżan, słabo wogóle poinformowanych o tem, co się dzieje po za ich rogatkami, wie, że na całem południu Francyi dokonywa się żywotne nader odrodzenie prowansalskie. Na tej Rusi francuskiej, która ma i swoje rzezie albigensów, i swe dawne tradycye historyczne, i pieśni trubadurów, i swego ducha odrębności, i wieki całe letargicznego snu, sprowadzonego przez nienawistnych „franchimandów" — cały legion poetów śpiewa dziś wiosenną pieśń zmartwychwstania. Odrodzenie to podobne jest do wszystkich narodowych wskrzeszeń, czy one się odbywają nad brzegami Wełtawy, Sanu, Dunaju, Dniepru, Niemna, Wisły lub Rodanu. Odgrzebują się przysypane pyłem zapomnienia pamiątki historyczne, odmładza się język, którym pisano „Słowa o pułku Igora" lub „Królodworskie rękopismy," a który stał się dziś tylko gwarą ludową; wraz z odkopaniem i ogrzaniem tych na pozór martwych wspomnień, występują i dalej idące żądania, o których przyszłość, czasem niedaleka, rozstrzyga — i wiśród zdumionej rzeszy dawnych cywilizowanych państw i narodów staje nowa literatura i lud nowy, dopominający się o swe prawa do bytu.

Przytem świadczy jeszcze o tej odrębności budzącej się Prowancyi — całkowita niezależność jej młodej literatury od tego, co pisze się dziś nad Sekwaną. W wieku pozytywizmu, pesymizmu i realistycznej twórczości, obok naturalizmu Zoli, obok Flauberta, Goncourtów i Guy de Maupassanta, brzmią pieśni liryczne, epopeje, historyczne rapsody, rozwija się romantyzm z całą swą cudownością, z całym korowodem historycznych wątków, udramatyzowanych na tle czasów zamierzchłych. Paryż zdaje się być odległym o setki mil i o całe dziesiątki lat wysunięty naprzód od tej powstającej literatury ukrainnej.

Przyjrzyjmy się jednak głównym postaciom tego odrodzenia.

Spotykamy tu naprzód poetę, który jeszcze w r. 1834 pierwszy zagrał na lirze zapomnianej. Był nim żyjący dziś nestor literatury prowansalskiej, Roumanille — ludowy autor pieśni kantyczkowych, sielanek i opowiadań prozą, mający coś z Karpińskiego i Brodzińskiego. Od r. 1855 jest wydawcą wychodzącego dotąd rocznika prowansalskiego *Armana prouvençau*, rozchodzącego się obecnie w 10,000 egzemplarzy, będącego oddawna ogniskiem odradzającej się literatury. Roumanille jest pisarz nader płodny i w całem znaczeniu tego wyrazu ludowy. Czerpał on wiele z tematów religijnych, religijność jego jest jednak świecką, nie pozbawioną humoru i satyrycznego elementu, jaki przebija w zapatrywaniach ludu na sprawy kościoła i jego sług. Pieśni kościelne i świeckie Roumanilla śpiewane tą dziś po całej Prowancyi, równie jak opowiadania jego czytywane wszędzie, gdzie żyje jeszcze dawny język trubadurów. Weteran ten pisał niedawno do jednego z literatów francuskich, jakby tłómacząc się ze swego zamiłowania: „Czy można zabronić nam kochać i propagować nasz język, opiewać nasze niebo, nasze sine góry i nasze drzewa oliwne, żałować obyczajów naszych dziadów i pozostać wyznawcami ich wiary? *Laudator temporis acti*, powiecie może. Niech i tak będzie. Ja nie mogę działać, myśleć i pisać inaczej."

Już w r. 1854 na zjeździe poetów prowansalskich w Fontséquigne zawiązał się „Związek felibrów," który odbywa do dziś swe wiece doroczne i jest wojującym zakonem pieśni prowansalskiej. Zjazdy te odbywają się w różnych miastach francuskiego południa, a u samych bram Paryża, w Sceaux, felibrowie odprawiają coroczne poetycką stypę nad mogiłą jednego z dawnych swych śpiewaków, Floriana, który jest rodzajem Bojana pieśni langwedockiej.

W r. 1859 wystąpił po raz pierwszy na arenę, żyjący również dotąd, największy z poetów Prowancyi, Fryderyk Mistral. Utwór jego *Mirèio*, historya dwojga kochanków, zrobił ogromne wrażenie na całem południu i odtąd autor dzierży hetmańską buławę w literaturze prowansalskiej. W kilka lat później (1866) pojawił się drugi jego poemat w dwunastu pieśniach — *Calendau*. Mniej tu świeżego uczucia i prostoty, pewien natomiast epicki spokój i namaszczenie. Poeta z ogromnym talentem odtworzył tu średniowieczną Prowancyę miast i zamków z „czasów benedykcyi," tj. epoki, kiedy papieże przebywali w Avignonie. Do czasów tych wracają chętnie poeci prowansalscy. Obraz odznacza się wielką plastyką i wiernem wniknięciem w ducha czasu. Mistral wlał weń swe uczucia patryotyczne i wypowiedział, co miał na dnie duszy. W dziesięć lat później (1876) ogłosił znowu zbiór poezyj lirycznych i poezyj epickich p. t.: *Iscolo d'or*, niedawno zaś, bo w r. 1884 wydał wielki poemat w siedmiu pieśniach, który nazwał „nowelą prowansalską" p. t. *Nerto*. Treść doń zaczerpnął w papieskim Avignonie, przenosi nas więc w wieki śre-

dnie, wprowadza na scenę papieża i szatana, walkę chrystyanizmu z buntowniczym duchem piekła i na tle tem kreśli gorący obraz miłości. Jesteśmy tu w pełni romantycznego rozkwitu. Z tendencyi tkwiącej w tym utworze tłomaczył się Mistrel jednemu z pisarzów francuskich w następujących słowach: „Chciałem odtworzyć życie prowansalskie w tym okresie naszej historyi, kiedy wszystko było u nas prowansalskie: lud, mieszczaństwo, szlachta, król i papież. W epoce realizmu trudno mi brać za złe, że opisałem w języku prowansalskim społeczeństwo, które nim mówiło. Wypadki, osobistości, pojęcia, zwyczaje, otoczenie — wszystko to jest z bliska wystudyowane. Moi bohaterowie musieli działać i myśleć, jak im działać i mówić kazałem. Cudowność zawartą w poemacie czerpałem z legend miejscowych, dziś jeszcze żyjących i przywiązanych do ruin; intrygę znalazłem gotową w podaniu ludowem, etc.“ Z tendencyi usprawiedliwia się poeta temi słowy: „Jako syn katolicyzmu, przejęty byłem nieraz wielkim smutkiem, widząc pozorną sprzeczność wierzeń religijnych z ideami nowoczesnemi. Zdobycze postępu zdają się wypierać dawne tradycye chrześciańskiej ofiary.“ Wypowiada następnie zdanie, że pycha szatańska jest także pierwiastkiem, przyczyniającym się do ostatecznego zwycięstwa boskiego porządku... To wyznanie wiary jak i cały utwór osnuty jest mistycyzmem i symboliką, jak przystało na średniowieczny poemat prowansalski. Jakże jednak daleko jesteśmy od spółczesnego naturalizmu! A przecież Mistral przemieszkuje w Paryżu i uważany jest przez znawców za jednego z prawdziwie wielkich poetów. Wyjść miał w tym roku wielki jego dramat *la Reino Jano*. Bohaterka jego, królowa Joanna, jest, powiada autor, „jedyną z królów i królewien panujących w naszym kraju, której imię pozostało żyjącem i sympatycznem wśród nas.“

Obok Mistrala postawić należy Teodora Aubanel'a, którego dramat wierszowany w pięciu aktach: *lou Pan dou Pecat* (Chleb grzechu) grany był z powodzeniem w roku 1878 w Montpellier na „zjeździe łacińskim.“ Aubanel jest poetą wielkich i gorących namiętności; miłość w jego utworach ma wszystkie blaski i ognie południa. Z głośniejszych jego prac wymienić wypada: poemat *Miougreno entreduberto* (1860), *Venus d'Arles* (1877), *li Filio d'Avignoun*, *Les Hirondelles...*

W tymże szeregu mieści się Feliks Gras autor poematu górskiego w dwunastu pieśniach: *Carbounié* i podobnego również utworu p. t.: *Tolosa*.

Po za tą czwórką stoi cała armia śpiewaków: Ludwik Roumieux, Achiles Mir, Tavan, Matnieu, Crousillat, Wiktor Lieutaud, Ludwik Astruc. Na polu literatury prowansalskiej pracuje wielu księży: Saint-Hilaire le-Peyron, kanonik katedralny w Tulle, Bresson, Imbert, Frère Savinien, Collele, Couture, Pascal itd.

Ruch poczęty w Prowancyi ogarnął jednocześnie Langwedocyę, która wydała utalentowanego poetę Jasmin'a, Gabriela Azaïs, de Clairaca, autora znanych *Vesperados*. Poeci Langwedocyi mają mniej wdzięku, niż ich koledzy prowansalscy, więcej jednak siły i energii. Pozostały tu żywe wspomnienia albigensów, tych husytów prowansalskich. Do tej grupy należy także katolicki pisarz Arnavielle, równie jak radykalny August Fourès, będący czystej krwi albigensem. Całe wogóle francuskie południe roi się dziś poetami, śpiewającemi w języku *d'oc*. Wszędzie wychodzą almanachy, odbywają się poetyckie igrzyska i zjazdy, jakby odżyły czasy trubadurów.

Nie brak również prac nad językiem i literaturą prowansalską. Littré zrobił dlań wiele; gorący patryota Mistral jest również autorem prowansalskiego słownika; Marieton, założyciel *Revue félibréene* jest jednym z mecenasów literatury prowansalskiej i autorem cennych rozpraw krytycznych.

Wśród tego wzrastającego w siły felibryzmu, szerzą się coraz dalej sięgające zamiary. Tourtoulon, założyciel *Revue des langues romanes* uważany jest za jednego z pierwszych inicyatorów „idei łacińskiej.“ W zjazdach literatów prowansalskich biorą udział poeci i pisarze północnych Włoch i Hiszpanii pirenejskiej, granice bowiem języka południowiej Francyi wybiegają po za rogatki Rzeczypospolitej. Myśl związku ludów łacińskich znajduje tu grunt przyjazny. W r. 1875 na zgromadzeniu felibrów w Montpallier nagrodzony został poeta Ascoli z Medyolanu, a nawet rumuńczyk Alecsandri.

Francuzcy pisarze, o ile dowiadują się o tym ruchu, dość niechętnie patrzą na jego dążenie do odrębności — pocieszają się tem zresztą, że on pozostanie zawsze prowincyonalnym, bez dalszych następstw. Felix Hémon, z którego artykułu*) czerpiemy dane powyższe, powiada, że byłoby dziecińśtwem mniemać, iż obowiązkowe nauczanie szkolne i powszechna służba wojskowa nie wyprą nigdy języka prowansalskiego. Co do nas, sądzimy, że nadzieja ta na bardzo kruchych opiera się podstawach.

P.

*) „Les Races vivaces,“ *La Nouvelle Revue*, 15 juin 1886.

Literatura czeska.

Wrchlický Jarosław. **Mądrość rabina** (Rabinská moudrost). Komedya w trzech aktach. Praga, 1886.

Mimo różnolitości cech rasowych, ludzkość zachowuje i objawia swoje fizyczne i duchowe pokrewieństwa. Czy pod kołpakiem, czy turbanem, czy jarmułką wspólnem serce uderza tętnem, bo jednakie części fizyczne są udziałem organizmu wszystkich ludzi. Właściwością jest jednak przyrody, iż tożsamość zjawisk, stosownie do ustroju danego organizmu w odmiennej przedstawia się formie, wytwarzając pozorne jeno różnice; albowiem siła jest siłą, choć rozmaicie stosowana i do odmiennych użyta celów.

Nowemu utworowi Jarosława Wrchlickiego p. t. *Rabinská moudrost* należy się szczególne uznanie. Poeta, chcąc jaśniej czytelnikom przedstawić wspólny wszystkim ludziom charakter ich strony obyczajowej, grupuje bohaterów w dwóch obozach, tj. chrześciańskim i żydowskim, przeprowadziwszy linię, łączącą ich w pewne figury geometryczne, gdzie wszystkie kąty są sobie równe.

Wieki odrodzenia, powstałe z czynników humanitarnych, przez ruchy reformacyjne do życia wskrzeszonych, stały się tłem dla niniejszego utworu. Czy jednak owe czynniki wyswobodziły ogół z pod panowania ciemnoty — inna to rzecz; klasycyzm bowiem w sztuce i literaturze tudzież pierwiastek biblijny w protestantyzmie były zaledwie nasieniem, które powinno było się rozrość w kłos dojrzały, lecz skrępowane rutyną szkoły antykwarskiej i dogmatyką teologiczną zwiędłyby w pierwszem poczęciu, gdyby ogłoszenie *praw człowieka* w drugiej połowie XVIII stulecia nie wprowadziło je w szerszy widnokrąg życia, wytwarzając nowoczesne o zasadach sprawiedliwości pojęcia, które mimo złowrogiego wrzasku wstecznictwa, coraz ściślejszemi ludzkość spajają ogniwami.

Epoka odrodzenia, gdzieindziej bogata w arcydzieła dłuta, pędzla i pióra, w ziemi nadweltawskiej, pod panowaniem cesarza i króla czeskiego Rudolfa, oddanego astrologii i alchemii, przedstawia słabe odblyski dawniejszej Czech świetności, kiedy po krwawych bojach husyckich, nastąpiły dni pozornego przed burzą pokoju. Król, miłujący uczonych, acz sam powierzchownie jeno nauce oddany, skupował cenne dawnych mistrzów włoskich arcydzieła, utrzymując na dworze swoim w Pradze liczny poczet hulaszczych synów sztuki. Spędziwszy młodość swoją w Hiszpanii, prześladował powstałych za Jerzego Podiebradzkiego braci czeskich, którzy wydawszy Biblię kralicką, klasyczny w dziejach języka czeskiego pozostawili pomnik. Dogorywający husytyzm, słabe już w życiu umysłowym dawał oznaki; bo też muza czeska z drugiej połowy XVI wieku łacińskimi na lutni rzuciła rytmami, a jeżeli w ojczystym odzywała się języku, to będąc jeno panegiryczną, opiewała wielkość domu królewskiego i przemożnych magnatów, porównywając czyny ich do dzieł Aleksandrowych, Ptolomeuszowych i Cezarowych. Komu znane są dzieje literatury polskiej od r. 1621, ten snadniej epokę Rudolfa w Czechach zrozumie.

Przedstawicielami pierwiastku, ogólnoludzkiego są Jehuda Löw ben Bezalel i artysta Chynowski, pierwszy żyd, drugi chrześcianin, obaj cnotliwi, łączą się w końcu braterskie powinowactwem duchowem. Lang komornik i radca królewski wraz z powiernikiem swoim Izaakiem, lubo w jednym aryjska, w drugim semicka krew płynie, jednak w przeciwstawieniu siłom dobrym, stanowią upostaciowanie instynktów zwierzęcych, uosobienie wsteczniectwa i jakiejś dążności burzącej, gwoli zadowoleniu grubego i potwornego samolubstwa. Recha, małżonka przybyłego do Pragi z kosztownościami złotnika brukselskiego Dawida i Weronika narzeczona Chynowskiego, stają się celem pożądliwości Langa, który nieprawym sposobem przywłaszczywszy sobie klejnoty Dawida, zamierza zagrabić pieniądze niejakiego Maisla, przeznaczone na koszta grzebania zwłok ubogich izraelitów, a u rabiego Jehudy złożone. Rozwiązanie węzła dramatycznego następuje w domu tego ostatniego, który będąc po części alchemikiem i optykiem, doświadczeniami swojemi z *camera obscura* zdołał sobie zyskać miłość Rudolfa. Chytry jednak Lang, łudząc wykrętnemi wybiegi niedołężnego króla, niebawem przesądnym jego umysłem zawładnął, okradając tymczasem galeryę królewską z naceniejszych arcydzieł szkoły włoskiej. W jednej z szynkowni pragskich więzi on Chynowskiego, osadziwszy go w Białej wieży, gdzie torturami męczy. Rabi Jehuda ukrywa w swojej komorze Rechę, małżonkę złotnika Dawida, Weronikę narzeczoną Chynowskiego i Sprangera artystę, którego Lang za obronę Chynowskiego również uwięzić zamierza. Weronika, nie chcąc być pastwą zwierzęcej pożądliwości Langa, rzuca się w nurty Weltawy, lecz przechodzący w tej chwili, rabi Jehuda wydobywa ją z otchłani i do domu swojego zanosi, gdzie w znanej nam ciemni ukrywa. „Wziąłem ją do siebie — mówi. Co będzie, nie wiem, ale głos wewnętrzny mi szepcze, żem dobrze uczynił.“ Niebawem przybywa Dawid z Brukselli, błagając Jehudę, aby mu żonę z ukrycia wydał, gdyż nie chcąc się narazić na prześladowanie ze strony Langa, wyjeżdża. „Opuszczam Pragę—woła— przyrzekam ci pieniądze—opuszczam, jeszcze dziś, wnet, w tej chwili. O nie wiesz, jaką pałam zazdrością.“ Rabi odpowiada piękną przypowieścią. „Zazdrość! Na początku była miłość jako lilia wonieįąca ku niebu, okryta śniegiem i światłem. Słodką była na wskróś i oddy-

chała jeno rozkoszą. I przybył zawistny Azazel, a nie mogąc jej wyplenić ze świata— naplwał na jej korzonek, który zgorżkniawszy w tej chwili, nazwan jest zazdrością."

Lang, czyhając na skarby Maisla, ukryte u rabiego, przybywa ze zbrojnymi, domagając się w imieniu prawa, aby mu otworzono tajemniczą komorę. W chwili tej, pełnej dramatyczności, rabi Löw wzywa Jehowę, błagając go o pomoc. I oto przybiega famulus Löwa z wieścią, iż pełnomocnik cesarski nadchodzi.

Następuje chwila uwięzienia zadziwionego niespodzianką Langa, który kord swój składając, dobrowolnie się poddaje. Chynowski uwolniony z Białej wieży, łączy się dozgonnymi węzłami z ukrytą w komorze Löwa Weroniką. Spranger i Recha, małżonka złotnika z Brukselli, również opuszczają zagadkowe dotąd ściany ciemni optycznej. Następuje pojednanie Löwa z małżonką Perlą, którą trapiła zawiść, gdyż obraz Weroniki, odbijający się w sposób optyczny w *camera obscura*, pozbawiał ją spokoju. Z tego powodu Löw po raz ostatni temi przemawia słowy: „Przyjaciele, zwłaszcza wy, nowi małżonkowie, miejcie tę naukę. Nie chowajcie przed żonami waszemi tajemnicy — gdyż ciężką z tego bywa pomsta; bo aby się tego nauczyć, rabi Löw Bezazel żyć musiał 70 lat. Mąż należy ze wszystkiem do żony i na odwrót — mówi talmud — owo wielka, złota prawda. Niechaj żywot wasz cały będzie księgą otwartą, gdzie na każdej stronnicy czytać można o tej prawdzie, a świecić wam będzie zawsze miłość, owa najświetlejsza złota lampa w dzień szabasu!"

Zakończenie dramatu przypomina nieco Szekspirowskiego *Kupca weneckiego*.

Justyn Feliks Gajsler.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ks. Aleksander ominął Warszawę a uczniowie powrócili do niej. — Równouprawnienie wobec natury i jej sprawiedliwość. — Odrodzeni. — Polskie spółki. — Narada członków „Merkurego." — Jeden z siedmiu. — Wspomnienie osobiste. — Najrozumniejszy akcyonaryusz. — Niezwalczone trudności. — Przyczyna niestałości kobiet. — Na czem opiera się nasze bezpieczeństwo. — Czciciele naszej łączności. — Mur i armaty. — Żławy śmiech.

Niejeden z czytelników zapewne ani się domyśla, że głośny bohater dnia, ks. Aleksander bulgarski o mało ze swej przymusowej wycieczki nie wracał przez Warszawę. Jeżeli ktoś wszakże chciał mu wrzucić do wagonu kwiatek lub słówko zachęty, niech się pocieszy, że mu jednego i drugiego nie szczędzono we Lwowie, skąd wywiózł te "miłe wspomnienia," które mu poręczał ks. Bismark. Natomiast witaliśmy tłumnie przyjeżdżających i weselej wyglądających uczniów gimnazyalnych. Widziałem gromadkę ich przed dwu miesiącami — widziałem i teraz. Podtyło biedactwo, opaliło się i ożywiło. Jakie to szczęście, że natura nie ulega polityce i trzyma się stale tych praw, jakie w przedwieczności sobie ustanowiła. Rozdaje ona wszystkim jednako powietrze, światło, ciepło — wszystko wreszcie, czego potrzebują jej dzieci. Coby to było, gdyby ona pewnego dnia poczuła "rozum stanu" i zaczęła kierować się "wyższymi względami!" O, niech pozostanie „martwą" i „nieświadomą!" Dziś dziecko, uwolnione ze szkoły, przez kilka tygodni wychodzi w pole lub do lasu, oddycha swobodniej niż Neron, wygrzewa się na słońcu jak Dyogenes, kąpie się jak ryba, biega jak zając i w ruchu ściera z siebie pleśń miejską, niszczy w mózgu bakterye, któremi się zaraziło. Tymczasem wystawmy sobie, że głupia matka-przyroda zmądrzała i jednym zaczęła wdmuchiwać w piersi ozon, a drugim pozwoliła jedynie wąchać z flaszeczek kwas węglany, zabroniwszy chwytać ustami tlenu! Równouprawnienie wobec natury również nie jest zupełnem, ale jest najszerszem. I ona większą swobodę zapewnia zdrowym, niż słabym, silnym — niż wątłym, ale żadna sprawiedliwość ludzka nie może się z nią mierzyć. To też gdy kto przegrał sprawę we wszystkich instancyach ostatniej, zwraca się do pierwszej i ona zawsze nagrodzi mu krzywdy. Za kilka łokci kwadratowych powietrza zepsutego daje całe przestworze świeżego, za przymus — wolność, za hodowlę sztuczną — nieskrępowany rozwój, za kłamstwa — prawdę. Nic to nie znaczy, że ona nad nieszczęśliwymi nie lituje się głośno, nie szlocha, nie krzyczy, nawet nie mści się, ale ich nie dobija i żadnej sile nie wysługuje się. Czy zauważyliście, że najwięcej rozsądnych zdań słyszeć, a najwięcej logicznych i uczciwych artykułów czytać można na początku jesieni. Przez lato ludzie na łonie natury, pozbywszy się z głów swędu i zaduchów miejskich, odzyskują zdrowie umysłowe, trzeźwość, jasny pogląd na rzeczy. Głupota w miastach dojrzewa przez zimę, jest jej trującym owocem: wtedy lud snuje baśnie i przesądy, a arystokracya marynuje swój mózg w żółci i wędzi go w konserwatywnych dymach. Dopiero wiosna go odmładza. I człowiek, jak każda roślina, zakwita w tej porze roku. Jeżeli zaś takim przemianom ulegają ludzie dojrzali, to jakże odczuwać je musi dziecko, zwłaszcza gdy przez dziesięć miesięcy wisi w dymniku i przetwarza się na pedagogiczną szynkę. Starzy mawiali, że chłopiec przez wakacye dziecieje, my widzimy, że zmartwychwstaje z letargu.

Od tak dawna wiszą już na przysłowiowym kołku „polskie mosty," „polskie łady," nawet „polska mądrość po szkodzie," a dotąd niema tam polskich spółek. Jest to coś jeszcze lepszego niż nasze mosty. Wyglądamy jak kupa piasku, którego każde ziarnko od innych odłączone i z którego żadna sztuka, dolewając nietylko wody, ale kleju, ciasta zagnieść i upiec nie może. Czasem skleimy się, ale szybko rozsypujemy. Poczytywaliśmy sobie za wielką chlubę ten „indywidualizm," ale gdy on zaczął nam wtykać w ręce kije żebracze, wdychamy do cnoty mu przeciwnej. Wydzwaniam te westchnienia głośniej, niż cierpliwość czytelników i losy grochu rzucanego na ścianę pozwalają, ale ciągnę dalej za sznurek tej sygnaturki, przypuszczając, że może jej dźwięk kogoś obudzi. Ile dowodów przytoczyłem, nie spisałbym na tej wołowej skórze, której rzemykami opasano Kartaginę; niechże do tej litanii przybędzie jeszcze jedno naczynie dziwnego nabożeństwa. Zwie ono się „Merkury," a jest starem towarzystwem spożywczem, które zdawało się mieć byt utrwalony. Aż oto — jak powiada jedno z pism humorystycznych, biedny Merkury zakulał na drugą nogę (właściwie na jedną). Bo na ostatniem zgromadzeniu nie można było odczytać sprawozdania komitetu, gdyż okazało się, że z siedmiu jego członków jeden jest tylko w Warszawie. Jeżeliby przypadkiem udowodniono później, że owych sześciu brakujących wyparowywało ze swych głów zacieki i wypłaszało mole zimowe, naturalnie uznałbym całą słuszność ich nieobecności i całą pożyteczność dla przyszłych działań Towarzystwa. Ale mam uparte przeczucie, że ci członkowie komitetu albo byli w Warszawie i tylko chorowali na odrazę do pracy zbiorowej, albo też wyjechali gdzieś pod miasto na biesiadę, właśnie w tych godzinach, kiedy przypadło zgromadzenie. Byłoby to przedewszystkiem po naszemu. Należałem do pewnej spółki, której administrator, człowiek bardzo skrupulatny, zawiadamiając nas piśmiennie o terminie sesyi, wysyłał list i do — siebie, gdyż, jak twierdził, musiał wywrzeć na siebie nacisk. Innym razem uczestniczyłem w zebraniu, w którem ktoś wezwał nas na osobną naradę o bardzo ważnym przedmiocie: z piętnastu przybyło na naradę sześciu, a między nimi nie było wnioskodawcy, który przeprosił nas bilecikiem, że *musi* wyjechać do Marcelina na kolacyę. Po tych i innych doświadczeniach dziwię się tylko wtedy, skoro jakieś stowarzyszenie zdoła ściągnąć wymaganą w ustawie ilość członków. Opowiadano mi, że istnieje w Warszawie przedsiębiorstwo akcyjne, którego przedstawicielem jest właściwie jeden człowiek; urządza on „ogólne zebrania," złożone z siebie, zdaje sprawę z działań sobie i, podobno, zadowolony dziękuje — sobie. Jest to najrozumniejszy i najpraktyczniejszy akcyonaryusz i wszystkim przemysłowcom radzę naśladować go przy organizowaniu stowarzyszeń. On bowiem wynalazł najżywotniejszą u nas postać spółki. Zarząd „Merkurego" nie chciał rozpatrywać skargi jednego ze swych członków, jako niemającej zastrzeżonych w statucie pięciu podpisów. Drakońskie prawo — pięć podpisów! Bagatela! A toż łatwiej zczepić wierzchołki pięciu świerków, rozrzuconych na włóco ziemi, niż dokonać takiego skupienia. Gdyby dziś układano legendę o Herkulesie, nie kazanoby mu ani zabijać lernejskiego węża ani czyścić augiaszowej stajni, ani zrywać jabłek hesperyjskich, lecz związać na całe życie pięciu polaków — bez powrozów. Ręczę, żeby tego nie dokonał. Bo jeśli nawet kobiety nasze obwiniane bywają o niestałość, to w wielu wypadkach gotów jestem ich bronić, że powodem zmiany uczuć lub przeniewierstwa nie była inna silniejsza miłość, lecz popęd indywidualistyczny, przeciwny długotrwałym stowarzyszeniom. I cóż ten „Merkury" myśli, że dla jego marek i dziadowskiej dywidendy zrzekniemy się naszej cechy narodowej? — pyta w duchu sześciu nieobecnych członków komitetu. Co racya — to racya.

Gdyby nie ta cecha narodowa, cała rzekoma własność Królestwa Polskiego zmieniłaby swych posiadaczów. Bo wiesz, czytelniku, czemu zawdzięczasz bezpieczeństwo swojej odzieży, bielizny, sprzętów, koni itd.? Trudności organizowania i niemożności długiego trwania stowarzyszeń złodziejskich. Opryszków wystarczyłoby nam dla okradzenia wszystkich, ale na szczęście skupiają się oni w bandy rzadko, a kłócą się przy łupach i wzajemnie zdradzają często. Kto wie zatem, czy członkowie rozmaitych spółek prawnych i moralnych, pielęgnując ducha niezgody i indywidualizmu, nie osłaniają nas w ten sposób od czynów nieprawnych i niemoralnych, dopełnianych zbiorowo. Jest to jedyna pociecha, do jakiej przytulić można serce zasmucone widokiem kupek piasku na niwie naszego życia społecznego. W zeszłym tygodniu sądy rozstrzygnęły kilka procesów, których bohaterowie dostali się do kryminału tylko przez indywidualizm swych towarzyszów.

Istnieją wszakże czciciele naszej łączności, a nawet opowiadają o niej cuda — niemcy. Według nich polacy są mistrzami w pochodach i walkach ławą, równie dobrze knują intrygi i spiski, jak wznoszą twierdze dla swej narodowości. Ogłosił to Puttkamer i Gossler a potwierdził sam Bismark. Serce nam rosło od tych zapewnień, choć oczy łzami naciekały, gdyśmy czytali o nowowykonanych armatach germanizacyi przeciwko temu murowi. Co do mnie — mówiłem sobie: niech kradną,

rabują, wypierają, strzelają, aby tylko ów mur nie był zwykłym parawanem. No i cóż? Trzeba było najbrutalniejszych wystąpień policyi pruskiej dla przełamania zwartej falangi naszych rodaków, pragnących na przekór upomnieniom pism polskich—zdobyć wody niemieckie, z drugiej strony trzeba było aż zamknąć kasę rządową, wykupującą w Poznańskiem ziemię na cele germanizacyjne, ażeby wytrzymać natłok „obywateli“ polskich, ofiarujących swoje majątki do sprzedaży „z wolnej ręki.“ Czy to nie solidarność narodowa, nie „mur?“ Cóż dziwnego, że *Kölnische Zeitung* radzi nowemu nadprezydentowi Poznańskiego użyć dział wielkiego kalibru dla zburzenia tych wałów, tępić polskość bez miłosierdzia, podkopywać procesami pisma peryodyczne, zakazywać wystaw obrazów i urządzania pochodów, rozdmuchiwać na cztery wiatry najniewinniejsze kupki polskiego piasku. Kto będzie jeszcze śmiał mówić o naszem chodzeniu na luzaka, o braku spójni, kiedy posiadamy tak poważne świadectwo, jak ks. Bismarka!

Zbiera nas śmiech, który w płacz przechodzi. Cóż robić. Natura dała nam mnóstwo dobrych przymiotów, ale przez nieuwagę zaprawiła je lekkomyślnością. Do żadnej pracy zbiorowej, nawet pod groźbą zagłady złączyć się nie możemy. Wszystko nam zabrano, a tej jednej wady nikt nam wyrwać nie chce...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Szczegółowy obrachunek. — Wet za wet. — Fałszywe drogi. — Seminaryum i apteka. — Wspomnienie.— Losy zapisów.

Gdyby cała ta kampania przeciw-niemiecka, która od utarczek dziennikarskich przeszła do prób poważnych zbadania sił i stanowiska żywiołu napływowego, skończyła się w sprawach społecznych i ekonomicznych tak, jak w polityce, tj. niczem, albo dokładniej mówiąc — stwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy, to nawet i w tym wypadku przyniesie nam ona korzyść nie małą. Ujawniono bowiem tyle i takich faktów, których znaczenia żadne rozumowania umyślnie nakręcane nie osłabią, wypowiedziano sobie i usłyszano tyle prawd gorzkich, że wrażenia tego nic zatrzeć nie zdoła. Nietylko my robiliśmy ten obrachunek, czyniła go również w swoim zakresie prasa rosyjska, chociaż w obu bilansach nadspodziewanie okazało się wiele pozycyj wspólnych. Rachunek ten jeszcze nieskończony; ani o likwidacyi wzajemnych stosunków, ani o uregulowaniu wypłat mowy nietylko dziś, ale i jutro być nie może, potrzeba jednak nie zapominać, że ten nie załatwiony obrachunek istnieje, nie zaniedbywać żadnych drobiazgów, które w połączeniu tworzą wielką sumę i skrzętnie zapisywać je, ażeby we właściwym czasie dokładnie przedstawić *conto* niemieckie.

Sumienność rachmistrza każe mi zacząć od sprostowań. Nie w 70 fabrykach w Łodzi znalazła komisya księgi handlowe pisane po niemiecku, ale tylko w 68 — w innych prowadzono je po polsku. Nie w szynku urządził wypłatę fabrykant B. w Pabianicach, ale w sklepiku i nie wódką każe brać robotnikom część należności, ale lichymi produktami spożywczymi, po wygórowanych cenach. Porządni fabrykanci nie wdają się z szynkarzami, takich nadużyć dopuszczają się tylko drobniejsi przedsiębiorcy w Ozorkowie i Zgierzu.

W tem ostatniem mieście odbył się niedawno zjazd członków Towarzystwa strzeleckiego, przy licznym udziale gości z ojczyzny, nie tej, gdzie niemcy jedynie czują się jak u siebie, lecz tej, gdzie rzeczywiście są u siebie w domu. Rozczuleni goście wylewali łzy nad smutnem położeniem oderwanych od pnia rodzimego gałązek i tylko nadzieja, że gałązki te kiedyś przyrosną do drzewa niemieckiego, krzepiła zasmuconych i dodawała im odwagi do zniesienia prześladowań słowiańskich. Przy tej sposobności okazało się, że drużyny strzeleckie istnieją we wszystkich miastach naokoło Łodzi: w Konstantynowie, Ozorkowie, Pabianicach, Aleksandrowie, Zgierzu, że więc korespondenci pism rosyjskich nie mylili się, kiedy donosili o zorganizowanych oddziałach przyszłych „wolnych strzelców;“ błąd ich polegał jedynie na tem, że te porozpraszane kompanie i bataliony umieścili w Łodzi, gdzie właściwie znajduje się tylko główna kwatera — *Central Schützen Gilde.*

Takiemi sprawami komisya specyalna nie zajmuje się wcale; wykrywa ona natomiast inne, nie mniej ciekawe szczegóły, które dla łatwiejszego zapamiętania należy w druku utrwalić. Pp. fabrykanci niemcy bardzo chętnie przyjmują udział w organizowaniu straży ogniowych ochotniczych, zwłaszcza z komendą niemiecką, zdawałoby się więc, że lękają się pożaru i przyjmują wszelkie środki ostrożności, tem bardziej zaś te, których wymaga od nich prawo. Okazuje się jednak, że we wszystkich prawie fabrykach znaleziono schody drewniane, chociaż jest to zakazanem; dla kilkudziesięcio-rublowej ostrożności narażanem więc było codziennie życie pracującego w warsztatach „polskiego bydła,“ którego nie asekurowano nawet, jak się np. zabezpiecza materyały i budynki.

Ciekawą będzie również statystyka spraw między robotnikami i fabrykantami. W drugim rewirze sądowym w Łodzi w r. z. było 58, do 13 zaś sierpnia r. b. 41 spraw o zmuszenie fabrykantów do wypłaty należnego zarobku.

Nie zapominajmy i o drobnostkach, do ścisłego rachunku są one bowiem potrzebne. Na ostatniem przedstawieniu cyrku Salamońskiego błazny, przy hucznych oklaskach rozbawionych niemców, pozwalali sobie takich drwin z polaków i rosyan, że oburzyli nawet łagodnych patryotów łódzkich. Jakiś znowu porządny niemiec, podczas awantury ulicznej, w której ziomkowie jego bili!—młodego chłopca polaka, na prośbę matki katowanego, ażeby powagą swoją rozbroił walczących, odrzekł spokojnie: „polacy powinni być bici,“ co zresztą jest prawdą, jeżeli dotychczas bić się dają.

Wspomniałem wyżej, że cały ruch antyniemiecki skończyć się może i w sprawach ekonomicznych uroczystem przypieczętowaniem istniejącego stanu rzeczy. Nie sądzę jednak, ażeby tak było, sprawy te bowiem chodzą swoją drogą, a polityka — swoją, w myśl zasady: że przyjaźń— przyjaźnią, interes — interesem. Dla poparcia słów moich biorę *Warszawskij Dniewnik*, który z natury rzeczy najczulszym byłby na zmianę usposobień. Pismo to nietylko, że nie zmieniło zapatrywań swoich w danej sprawie, ale nawet obmyśliło oryginalny „wet za wet.“

Wiadomo, że rząd pruski proteguje kontrabandę wódki i czyni to najzupełniej jawnie. Każdy „szwarcownik“ po przejściu granicy, udaje się do właściwego urzędnika, który mierzy objętość beczułki i wydaje odpowiednie świadectwo. Z tym bilecikiem kontrabandzista idzie do właściciela gorzelni lub składnika spirytusu, któremu zostawia karteczkę i bierze odeń wódkę. Przy rocznym obrachunku z zarządem akcyznym, właściciele gorzelni przedstawiają te karteczki i rząd pruski sprzedaną kontrabandzistom okowitę uwalnia od akcyzy. To wiadomo, ale nie każdemu wiadomo, że i od nas istnieje kontrabanda do Prus, oraz że przedmiotem tajnego wywozu są świnie. Handel ten przybrałby znaczne rozmiary, gdyby nie straż pograniczna rosyjska, która chwyta zgonników, aresztuje trzodę, za co otrzymuje $^1/_{10}$ wartości zatrzymanego towaru. *Dniewnik* słusznie żąda, żeby to opiekowanie się interesami pruskimi zniesiono. Zakaz wywozu trzody chlewnej do Prus zubożył pograniczną ludność polską, teraz kiedy właściciele świń wpadli na myśl szwarcowania ich przez granicę, straż rosyjska, niewiadomo z jakiej racyi, bo jużci nie przez grzeczność dla niemców, stawi tamę temu handlowi. *Dniewnik* idzie dalej jeszcze, sądzi on, że należałoby naśladować rząd pruski, i jak ten proteguje wywóz spirytusu, tak również trzeba się opiekować przemycaniem trzody chlewnej i dać zgonnikom wszelkiego rodzaju ułatwienia. Wet za wet — świnie za spirytus. Niejednemu walka ta wydać się może niemoralną, ale czyż moralne są cła wogóle, czyż moralniejsze są wojny? Zresztą i przewaga etyczna będzie po naszej stronie, kiedy bowiem niemcy dostarczają nam szkodliwej dla zdrowia wódki, kiedy rozpajają ludność pograniczną, my tuczyć ich będziemy tłustą świniną, pożywną i zdrową, w której tylko przypadkiem chyba znajdą się czasem trychiny, kiedy w ich wódce znajdują się zawsze pierwiastki trujące.

Koniec sierpnia i początek września zajmują zwykle w pismach sprawy szkolne. Z powodzi różnych głosów zasługuje na wyróżnienie śmiały artykuł *Tygodnia* piotrkowskiego, nie wnioskami jakie stawia, bo te są znane, ale podniesieniem sprawy poniekąd drażliwej, ale doniosłej. Autor artykułu p.t.: „Fałszywe drogi“ mówi o kandydatach do stanu duchownego, z których wyrastają później „stróże moralności,“ „naturalni przewodnicy ludu“. Przewodnicy ci kończą zwykle 4 klasy i w wieku 15—16 lat wybierają sobie „z powołania“ przyszły zawód. Oto jak opisuje tych przyszłych kapłanów *Tydzień*: „W szkołach dzisiejszych jest około 50% onanistów. Dziwne doprawdy, jak u nas obojętnie patrzą na to. Miny mają głupie, posępne, wystraszone, umysły tępe i zlodowaciałe, cerę blado-trupią. Z wielkim też trudem, z dobyciem resztek sił mózgowych kończą cztery klasy i już czują się tak wyczerpani, tak zmęczeni, iż określają sobie stanowczo metę. Po otrzymaniu świadectwa owej *półdojrzałości* otwierają się przed młodzieńcem trzy pola: apteka, seminaryum i nauczycielstwo wiejskie, dawniej było jeszcze czwarte — wojsko, ale dziś wymagają tam ukończenia sześciu klas.“

Nauczycielstwo nie wielu nęci, pozostaje więc apteka i seminaryum. „Młodzież na obie te instytucye patrzy, jak na rzeczy identyczne. Wstąpię do seminaryum — a jeśli się nie uda — to do apteki. Bierze się więc z gimnazyum świadectwo, staje się później na ulicy, przykłada dwa palce wskazujące do siebie, kręci się niemi w pewnem oddaleniu, a później zbliża szybko. Jeżeli się spotkają, idzie się do apteki, jeżeli nie — do seminaryum. Palce się nie spotkały, idę więc do seminaryum. Tu, ma się rozumieć, odrazu znajduję powołanie i łaskę boską.“

„A potem, nie mówmy co potem, dodaje autor. Przyznajmy raczej, że nieubłaganymi nieprzyjaciółmi naszymi są ci, którzy zgangrenowanych moralnie wyrzutków ślą na stanowisko tak wielkiej wagi, jakiem powinno być kapłaństwo.“

Autor jest więc człowiekiem religijnym, uznającym nawet wysokie powołanie duchowieństwa, słowa jego mają przeto tem większą wagę, posłuchajmy go zatem jeszcze przez chwilę:

„Chłopiec świadomy do gruntu swego zepsucia, kładzie na siebie sukienkę z tem mocnem przeświadczeniem, że ona go odrazu zrehabilituje, a choć później dawniejsze grzeszki odzywają się, głuszy je fanatyzmem, zaciera wobec ludzi i kolegów hipokryzyą.“ Każdy bezstronny czytelnik, który zechce przypomnieć sobie czasy szkolne i kolegów, uzna ile w tych słowach jest prawdy. Ja przypominam sobie swoich towarzyszów z ławy szkolnej, którzy wybrali zawód duchowny i widzę, że wyłączając dwóch chłopców poczciwych, ale tępych, inni podchodzą pod tę charakterystykę we wszystkiem, nie wyłączając nawet samogwałtu, któremu przyszli wyznawcy celibatu oddawali się z zamiłowaniem. Byli to chłopcy zepsuci, nie w zwykłem znaczeniu szkolnej swawoli lub nawet karygodnych wybryków młodzieńczych, ale napiętnowani tą rozpustą pokątną, niedołężni fizycznie, o bladych twarzach, z podsiniałemi oczami, mrukliwi, leniwi i tępi umysłowo. Łatwo zrozumieć, że seminarya, w których wychowują się ci wybrańcy „świętego powołania,“ są często siedliskiem wyuzdanego zepsucia, troskliwie jednak ukrywanego, że później, kiedy zostaną księżmi, życie ich płynie w tym samym kierunku, w jakim wyżłobiły sobie łożysko złe skłonności młodzieńcze, lub jeżeli nawet poprawią się, gnuśnieją w bezczynności umysłowej, bo do lepszego życia sił nie mają.

Kilkakrotnie zaznaczaliśmy fakty nieposzanowania woli zmarłych i unieważniania zapisów, przeznaczanych na cele ogólne; niemniej smutnym jest fakt, w jaki sposób wykonywają się niektóre zapisy już uznane. Niedawno *Gazeta lekarska* wykryła, że w Lubartowie gnije i wali się w gruz dom, zapisany przez jakąś wdowę na rzecz schronienia dla nauczycielek. Schronienie to istnieje i posiada przecie jakiś zarząd, ale zarząd ten składa się z jaśnie wielmożnych opiekunów i opiekunek, którzy tak są zajęci urządzaniem na rzecz jego balików i przedstawień, że nie mają czasu myśleć o jakimś tam domku w Lubartowie. Korespodent nasz z Płocka przysyła nam znowu wiadomość w sprawie, którą już pisma codzienne w ogólnych wyrazach podniosły. Właściciel dóbr Witkowo w lipnowskiem, Trzciński zapisał 3,000 rs. na zapomogę dla biednych urzędników i wdów po urzędnikach. Ponieważ zapis był przedmiotem długoletniego sporu, suma ta urosła do 4,500 rs. i obecnie została rozdzieloną przez wykonawców testamentu, obywatela ziemskiego X. i adwokata Y. w ten sposób, że wsparcia otrzymali:

1) Ż. urzędnik Tow. kredytowego ziemskiego, pobierający 1,200 rs. pensyi.

2) G. notaryusz w mieście powiatowem.

3) O. sekwestrator i właściciel dóbr w powiecie sierpeckim.

4) K. emeryt, właściciel folwarczku podmiejskiego.

5) S., wprawdzie urzędnik, który spadł z etatu, lecz człowiek zamożny, znany jako pokątny doradca — i wielu innych tak samo „godnych wsparcia.“

Faktu tego zatrzeć nie można, ponieważ odbiorcy pokwitowali z otrzymanych sum w księdze wieczystej majątku Witkowo. Dodajmy, że podział przez długi czas trzymany był w tajemnicy, że niektórzy z obdarowanych znajdują się w pokrewieństwie z wykonawcami testamentu, a stanie się widocznem, że spaczono ostatnią wolę zapisodawcy. Jakkolwiek pisma dawno już odzywały się w tym przedmiocie, osoby zainteresowane nie odezwały się z protestem, my czekaliśmy również na wyjaśnienie, teraz jednak szczegółowo podnosimy sprawę, która w kołach miejscowych wywołała powszechne oburzenie. Chcemy wierzyć, że nadużycie było raczej skutkiem lekkomyślności, aniżeli złej woli, że może znajdą się okoliczności, rzucające na niektóre szczegóły inne światło, bądź co bądź jednak wogóle podział dokonany był niesłusznie, niewłaściwie wydano wsparcia winny być zwrócone, jeżeli zaś obdarowani nie zechcą tego uczynić, lub wykonawcy zapisu nie zwrócą z własnej kieszeni lekkomyślnie wyrzuconego grosza, który stał się już własnością publiczną — nie zawahamy się powtórnie wystąpić w tej sprawie, ale już z wymienieniem nazwisk jej uczestników.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Agencya północna rozesła do pism taki telegram:

„Zarządzający konsulatem rosyjskim w Ruszczuku zakomunikował ministeryum spraw zagranicznych w dniu 18 sierpnia osobiście mu przez księcia Aleksandra bułgarskiego doręczony następujący telegram na imię Najjaśniejszego Pana. „Najjaśniejszy Panie! Objąwszy na nowo w moje ręce rządy mojego kraju, ośmielam się przedstawić Waszej Cesarskiej Mości wyrażenie najgłębszej mojej wdzięczności za to, że przedstawiciel Waszej Cesarskiej Mości w Ruszczuku urzędową swoją bytnością na mojem przyjęciu okazał narodowi bułgarskiemu, że rząd Cesarski nie może pochwalać zwróconego przeciwko mojej osobie aktu rewolucyjnego. Zarazem upraszam o pozwolenie złożenia Waszej Cesarskiej Mości mojej wdzięczności za wysłanie generała ks. Dołgorukiego z nadzwyczajnem zleceniem od Waszej Cesarskiej Mości, ponieważ objawszy na nowo prawowitą władzę, poczytuję sobie za pierwszy mój obowiązek zapewnić Waszą Cesarską Mość o niezłomnem mojem postanowieniu przyjęcia na siebie wszelkich ofiar, aby dopomódz wspaniałomyślnemu zamiarowi Waszej Cesarskiej Mości wyprowadzenia Bułgaryi z ciężkiego kryzysu, jaki przebywa. Upraszam Waszą Cesarską Mość o upoważnienie księcia Dołgorukiego do wejścia w bezpośrednie i najrychlejsze ze mną porozumienie. Będę szczęśliwym, przedstawiając Waszej Cesarskiej Mości ostateczny dowód niezmiennego mego przywiązania do Najdostojniejszej Osoby Waszej Cesarskiej Mości. Zasada monarchiczna zniewoliła mnie do przywrócenia prawnego porządku w Bułgaryi i Rumelii. Rosya obdarzyła mnie moją koroną i koronę tę gotów jestem wręczyć jej Monarsze.“ Na przywiedziony wyżej telegram, Jego Cesarskiej Mości podobało się odpowiedzieć następującym telegramem: „Jego Wysokości Księciu Bułgarskiemu. Filipopol. Otrzymałem telegram Waszej Wysokości. Nie mogę pochwalać powrotu Waszej Wysokości do Bułgaryi, przewidując zgubne następstwa dla kraju, wystawionego już na tak ciężkie próby. Misya księcia Dołgorukiego nie jest obecnie na czasie. Będę się powstrzymywał od wszelkiego mieszania się w smutne położenie, do jakiego doprowadzoną została Bułgarya, dopóki Wasza Wysokość pozostawać tam będzie. Do Waszej Wysokości należy rozstrzygnąć, co Mu czynić wypada. Sobie samemu pozostawiam sąd o tem, do czego zobowiązuje mnie czczona przezemnie pamięć Mojego Rodzica, interesy Rosyi i pokój na Wschodzie.“

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia, mówiąc o stosunkach rosyjsko-niemieckich, obrabia polaków zagranicznych.

„Dzienniki poznańskie i galicyjskie przeczą temu, aby w społeczeństwie polskiem budziła się chęć zbliżenia do Rosyi. Na pytanie: po czyjej stronie staną polacy w razie wojny — *Reforma* oświadcza uroczyście, że odpowiedź mogłaby tylko udzielić reprezentacya narodu polskiego, której z winy Rosyi nie ma. Słuszniejsze jest twierdzenie gazety, że polacy będą po obu stronach walczących, ale w takim razie kwestya pomocy ze strony polskiej staje się czczą, próżną.

To wszystko naprowadza na myśl, że całkiem nie w porę są wszelkie gadaniny o sławetnem polsko-rosyjskiem pojednaniu. *Gazeta narodowa* zapewnia, że niema w tej chwili żadnego powodu, aby nastąpił zwrot w usposobieniu polaków względem Rosyi i że środki oporu przeciw niemcom znajdą w samych sobie i w politycznych przymierzach z resztą świata słowiańskiego, którego opinia także jest jakoby Rosyi nieprzyjazna.

Nie dość na tem, *Reforma* ostrzega jeszcze Austryę, aby się nie kojarzyła z Rosyą, bo taki sojusz zgubny jest dla Austryi na wschodzie, oraz że w niej jest kąsek budzący apetyt w kraju, którego monarcha ma tytuł „króla polskiego.“ Słowa te dotyczą Galicyi.

Dość chyba tych próbek, aby się przekonać, że w krytycznej chwili Poznańskie i Galicya działać będą stanowczo w duchu przeciwnym Rosyi. Nie dlatego, aby istotnie były tam jakieś przymierza ze światem słowiańskim, ale że po prostu nienawiść ku Rosyi zbyt silnie zakorzeniła się wśród przewódców opinii publicznej w tych prowincyach.

Możnaby się z tem pogodzić, bo to w każdym razie niewielka siła; ale ci panowie ukazują nam przy tej sposobności zawsze na Polskę rosyjską: tam oto pojednanie się — mówią — a zobaczymy. Tym sposobem kwestya gmatwa się i przenosi na grunt najmniej nadający się do dyskusyi. Zresztą niedawno przytaczaliśmy poglądy na kwestyę pojednania z polskiego punktu widzenia, dość beznamiętne. Czy one upowszechnią się — trudno zaręczyć. Wogóle zresztą ludzie nauki, teoretycy polityczni rzadko kiedy wywierają wpływ w stanowczej chwili. Krzykliwy szowinizm bierze wówczas zazwyczaj górę, nienawiść się potęguje, a dobro ogólne często na drugi plan się usuwa. Bardzo chcielibyśmy, aby poczucie potrzeby zbliżenia się do Rosyi stało się powszechniejszem wśród polaków, bodaj dlatego, że wywarłoby wpływ na zewnątrz i zapobiegło takim wynurzeniom, jak powyższe. Ale dotąd jest ono niewyraźne. Co zaś jest wyraźne, to niechęć i nienawiść zakordonowej publicystyki, która sprawia, że rozprawy o pojednaniu okazują się zbyteczne, ale swoją drogą nie ma zasady wstrzymywać pracy spokojnego, zdrowo myślącego ogółu, w kwestyi wyjaśnienia tego stopniowego udoskonalenia, jakie winniśmy osiągnąć w Królestwie, nie troszcząc się o zagranicznych krzykaczy.“

Swiet przerywa sobie śledzenie wypadków bułgarskich rozmyślaniem o przemyśle Królestwa polskiego i dochodzi do następujących wniosków:

„Kwestya fabrykantów zagranicznych w Królestwie Polskiem, dostatecznie już dojrzała. Zgubne skutki ich pasorzytnej działalności nie powinny dalej być cierpiane; nie wolno nam dusić własnemi rękami krajowego przemysłu na rzecz obcego. Dlatego oświadczamy się za następującymi środkami:

1) Zamknąć granicę dla przechodzących ją codzień tam i napowrót robotników zakordonowych.

2) Idąc za przykładem Niemiec, wydalić z okręgu nadwiślańskiego wszystkich cudzoziemców, mających jakąkolwiek styczność ze sprawami i produkcyą fabryk i zakładów przemysłowych.

3) Wzmocnić dozór pograniczny, i w tym celu uczynić go bezpośrednio zależnym od warszawskiego generała-gubernatora, z prawem przybierania do pomocy wojsk polowych.

4) Zamknąć fabryki cudzoziemskie w promieniu 50 wiorst od granicy wybudowane, i

5) Tymczasowo zaprowadzić dla zagranicznych fabryk w Królestwie specyalne cło wywozowe, bez którego ani jedna sztuka towaru z fabryki nie zostałaby wypuszczona.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Pożądana kontrola. Rewizya kas sędziów pokoju, według nowego rozporządzenia, może być dokonaną w każdym czasie przez właściwych urzędników miejscowych izb obrachunkowych (kontrolnych).

Przywileje. Nowe prawidła, dotyczące szczególnych przywilejów służby administracyjnej zapewniają urzędnikom pochodzenia rosyjskiego w Królestwie naddatki do pensyi przez dwa pierwsze pięciolecia po 15% (dla urzędników okręgu naukowego — 25%), w guberniach zachodnich zaś stały naddatek 25—50%. Z przywilejów tykh korzystają bez wyjątku wszyscy urzędnicy pochodzenia rosyjskiego, kiedy dotychczas korzystała z nich tylko trzecia część.

Uniwersytet w Dorpacie. Dzienniki petersburskie donoszą, że zapadło już postanowienie wprowadzenia języka rosyjskiego jako wykładowego w uniwersytecie dorpackim.

Kary. Znowu 472 majstrów skazanych zostało na grzywny za nieposyłanie terminatorów do szkół niedzielno-handlowych.

Zakaz pielgrzymek. *Warsz. Dniewnik* donosi, że policya w okolicach Lublina zatrzymała partyę pątników, udających się do Częstochowy. Istnieje bowiem cyrkularz, wydany przez hr. Kotzebuego, zakazujący pielgrzymek zbiorowych.

Wstrzemięźliwość. W 47 guberniach, w których zastosowano nowe przepisy o sprzedaży trunków włościanie 22,998 gromad wiejskich wydali uchwały gminne, zabraniające sprzedaży we wsiach wódki i innych napojów spirytualnych.

Ulgi dla włościan. W lasach rządowych w Królestwie dozwolone będzie włościanom pasanie bydła na warunkach dogodniejszych aniżeli dotychczasowe. Poręby zaś, przeznaczone na sprzedaż, dzielone będą na drobne działki, aby włościanom ułatwić nabywanie budulcu i opału.

Bibliografia. P. J. K. Gieysztor wydał w starannym bardzo przedruku dwa nieznane bibliografom utwory poetyczne, drukowane pierwotnie w 1589 r. w Krakowie, są to: *Historya o czterech młodzieńcach, starających się o królewnę perską* i *Treny* na śmierć Jakóba Strusia, poległego w bitwie z tatarami. Autor tych utworów — Marcyan Kobiernicki nieznany jest również historykom literatury.

Nowy prorok zjawił się w Krakowie, jest to niejaki p. Kaźmir Stanisław Jabłoński, który ogłasza w dziennikach, że został przepowiedzianym przez proroków, aby „nowe światło" ogłosić ludzkości. Księga „Nowe światło," złożona z proroctw i objawień wyjdzie z druku w roku przyszłym.

Podział poznańskiego. Dzienniki niemieckie donoszą, że księstwo Poznańskie ma być podzielone na dwie części, z których jedna przyłączona będzie do Prus zachodnich, druga do Szląska. Oprócz tego wprowadzony zostanie nowy podział powiatów w ten sposób, aby przy wyborach zapewnić powodzenie niemcom.

Jubileusz. Przed kilkoma dniami w Paryżu obchodzono setną rocznicę urodzin znanego fizyka Chevreul'a. Starzec dotychczas zachował w pełni siły umysłowe.

Także zamach. Na króla portugalskiego, podróżującego obecnie po Szwecyi, uczynił zamach prawdopodobnie jakiś waryat, który rzuciwszy kilka ciężkich kamieni, zdołał zbiedz.

Wielki wypadek. Tyras, sławny „Reichshund," ulubieniec ks. Bismarka, zaginął i wszelkie poszukiwania okazały się bezskutecznemi. Dzienniki berlińskie poświęcają wypadkowi temu osobne wzmianki.

Trzęsienie ziemi niezwykle silne miało miejsce w Grecyi i południowych Włoszech. Na półwyspie Morei wiele miast i wsi uległo zniszczeniu.

Wychodźctwo do Ameryki z Rosyi doszło w r. z. niezwykłych dotąd rozmiarów, gdyż liczba emigrantów wyniosła 16.835 osób. Największy procent stanowią żydzi z gubernij zachodnich, potem zaś idą mieszkańcy Królestwa i Finlandyi.

Piwo. Każdy mieszkaniec Berlina wypija przeciętnie rocznie 167½ litrów piwa, nie dorównywa jednak monachijczykowi, który wypija 756 litrów.

Zmarli. E. Ridderstad, znany powieściopisarz szwedzki, niektóre utwory jego tłomaczono na język polski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. Ż. z Ukrainy. Nie ukrylibyśmy nazwiska tego winowajcy, gdybyśmy je znali. Wiadomość poczerpnięta była z innych pism, które zwykły zamaskowywać przestępców, o ile nie są żydami, niemcami lub nie należą do ludu.

P. Ig. Lip. Rękopis do odebrania.

P. Wł. Kl. w Ul. I co to pomoże? Albo już mało słów zmarnowaliśmy? Oni ciągle będą się śmieli ze „znakologii," a sami nie przestaną pisać: wyroby *tabaczne*, monopol *tabaczny* itp. Do „tytoniu" nikt ich nie namówi.

P. Z. Przer. w Warsz. Pozwólże Pan pluskać się w kanaliku tym dwu piskorzom. I to biedactwo pragnie nietylko żyć, ale udawać wielkie ryby. Złe żaki i nic więcej.

Prenum. w Lubl. Opisowa czy patologiczna?

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Августа 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.